


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

BAŚNIE I LEGENDY

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

1

Z DAWNYCH DZIEJÓW Z DALEKICH KRAJÓW

DWIE ŁĄKI

Były dwie krainy, leżące obok siebie niby dwie łąki niezmierne, podzielone tylko jasnym strumieniem. Brzegi tego strumienia rozchyłały się w jednym miejscu łagodnie na obie strony, tworząc bród miałki w kształcie jeziora o wodach cichych i przezroczystych. Pod błękitną tonią widać było dno złote, z którego wyrastały łodygi lotosu, rozkwitającego nad wodną szybą kwieciami różowym i białym; tęcze łąki i motyle wiły się wokół kwiatów, a wśród palm nadbrzeżnych i wyżej, w promiennym powietrzu, dzwoniły, jak srebrne dzwonki, ptaki.

I to było przejście z jednej krainy do drugiej.

Pierwsza zwała się Łaką Życia, druga Łaką Śmierci.

Stworzył obie najwyższy i wszechmocny Brahma, który w krainie Życia rozkazał włodarzyć dobremu Wisznu, a w krainie Śmierci mądrym Sziwie.

I rzekł:

– Czyńcie, jako rozumiecie najlepiej.

Więc w krainie należącej do Wisznu zawrzało Życie. Poczęło wschodzić i zachodzić słońce, nastaly dnie i noce, przestworza morskie jęły wzdymać się i opadać; na niebie pokazały się ciężarne dżdżem obłoki, ziemia porośla puszcza, zaroilo się od ludzi, zwierząt i ptaków. By zaś wszystkie twory żyjące mogły rozradzać się i mnożyć, stworzył dobry bóg Miłość, której nakazał, aby zarazem była szczęściem.

A wtedy Brahma zawołał go przed swoje oblicze i rzekł:

– Nic doskonalszego nie zdołasz wymyślić na ziemi, że zaś uczyniłem niebo już pierwej, przeto odpocznij i niech te istoty, które nazwałeś ludźmi, snują dalej bez żadnej pomocy nic życia.

Wisznu usłuchał rozkazu Brahmy i ludzie poczęli odtąd sami myśleć o sobie. Z ich dobrych pomysłów zrodziła się radość, a ze złych smutki, więc ze zdziwieniem spostrzegli, że życie nie jest nieustannym weselem, ale że ową nic, o której mówił Brahma, przędą jakby dwie prządki, z których jedna ma uśmiech na twarzy, a druga łyzy w oczach.

Udali się tedy przed tron Wisznu i poczęli się skarżyć:

– Panie, ciężkie jest Życie w smutku.

A on rzekł:

– Niechaj was pociesza Miłość.

Usłyszawszy to odeszli uspokojeni, albowiem Miłość rozpraszała istotnie ich smutki, które wobec szczęścia, jakie ona daje, wydawały się tak błahe, że nie warto było na nie zważać.

Ale Miłość jest zarazem wielką rodzicielką Życia, więc jakkolwiek ogromna była ta kraina, w której włodarzył Wisznu, wkrótce dla tłumów ludzkich nie starczyło ni jagód leśnych, ni miodu skalnych pszczół, ni owoców na drzewach. Wówczas ci, którzy byli najrozumniejsi, wzięli się do karczowania lasów, do uprawy pól, do siejby zboża i do zbierania plonów.

I w ten sposób powstała na ziemi Praca. Wkrótce wszyscy musieli się do niej zabrać, tak że stała się ona nie tylko podstawą Życia, ale niemal Życiem samym.

Ale z Pracy zrodził się Trud, a z Trudu Zmęczenie.

Gromady ludzi stanęły znów przed tronem Wisznu.

– Pani! – wołały wyciągając ręce – Trud osłabił nam ciała, Zmęczenie rozsiało się w naszych kościach i chcielibyśmy odpocząć, a Życie przymusza nas wciąż do pracy!

Na to Wisznu rzekł:

– Wielki Brahma nie zezwolił mi rozwijać dalej Życia, ale wolno mi stworzyć coś takiego, co będzie jego przerwą, a przeto i wypoczynkiem.

I stworzył Sen.

Ludzie z radością przyjęli ten nowy dar i wkrótce uznali go za jeden z największych, jakie otrzymali z rąk boga. We śnie koili się troski i zawody, we śnie krzepiły się siły zmęczonych, Sen osuszał jak dobra matka łyzy smutku i otaczał głowy śpiących jakby cichą mgłą zapomnienia. Więc ludzie wychwalali Sen mówiąc:

– Bądź błogosławion, albowiem lepszyś jest od Życia na jawie.

I jedno tylko mieli mu do zarzucenia, że nie trwa wiecznie, że następuje przebudzenie, a po przebudzeniu praca – i nowe trudy, i zmęczenie.

Myśl ta poczęła ich trapić tak ciężko, że po raz trzeci udali się do Wisznu.

– Panie – mówili – daleś nam dobro wielkie i niewysłowione, ale niezupełne. Spraw, by Sen był wieczny.

Wisznu zaś zmarszczył swoje boskie brwi, jakby zgniewan ich natręctwem, i odpowiedział:

– Tego ja wam już dać nie mogę, ale idźcie do rzecznej przeprawy, a po drugiej stronie znajdziecie to, czego szukacie.

Ludzie posłuchali głosu bóstwa i zastępy ich pociągnęły zaraz nad jezioro, a stanawszy nad nim poczęli spoglądać na drugą stronę.

Za cichą i jasną, haftowaną kwieciami tonią ciągnęła się Łąka Śmierci, czyli Kraina Sziwy.

Nie wschodziło i nie zachodziło w niej słońce, nie było dnia i nocy, ale całe przestworze nasyciała liliowa, jednostajna jasność.

Żaden przedmiot nie rzucał tam cienia, bo owa jasność przenikała wszędy, tak iż zdawała się tworzyć istotną treść wszechrzeczy.

Kraina nie była pustynna: jak okiem sięgnąć, widniały w niej doliny i wzgórza, porośłe ślicznymi kępami drzew, wokół których wiły się pnącze, zwoje bluszczu i winogrodu zwieszały się ze skał. Ale i skały, i pnie drzew, i smukłe łodygi roślin były niemal przezrocze, jakby ze zgęszczonego światła uczynione.

Liście bluszczu miały leciuchne, różane blaski zorzy porannej, a wszystko było cudne, ukojone jakimś nie znanym na Łące Życia ukojeniem, przeczyste, niby pograżone w świetlistej zadumie, niby senne i uśpione snem błogim, nieprzespanym.

W jasnym powietrzu nie było najmniejszego powiewu, nie poruszał się żaden kwiat, nie zadrgał żaden listek.

Ludzie, którzy przyszli na brzeg gwarno i z głośną rozmową, uciszyli się na widok tych liliowych, nieruchomych przestworów i tylko szeptem poczęli powtarzać:

– Jaka tam cisza i jak tam wszystko spoczywa w świetle!

– O tak, tam spokój i wieczny sen...

Więc niektórzy, najbardziej zmęczeni, rzekli po chwili:

– Pójdziemy szukać wiecznego snu!

I weszli w wodę. Grająca tęczą toń rozstała się zaraz przed nimi, jakby chcąc im przejście ułatwić. Ci, którzy pozostali na brzegu, chwyceni nagłą tęsknotą, poczęli na nich wołać – lecz żaden z nich nie odwrócił głowy i szli dalej lekko i ochoczo, widocznie coraz bardziej urokiem cudnej krainy przyciągani.

Tłum patrzący z brzegu Życia, zauważył też, że ciała ich, w miarę jak się oddalali, stawały się rozwidnione, przejrzyste, coraz lżejsze, coraz bardziej świetlane, coraz promienniejsze i jakby topniejące w tej powszechnej jasności, która napelniała Łacę Śmierci.

A gdy przeszli, układali się do spoczynku wśród tamtych kwiatów i drzew lub u podnóża skał. Oczy ich były zamknięte, ale twarze miały wyraz nie tylko niewysłowionego spokoju, lecz i takiego szczęścia, jakiego na Łące Życia nie dawała nawet Miłość.

Co widząc, pozostali przy życiu mówili do siebie wzajem: – Słodsza i lepsza jest kraina Sziwy...

I poczęli przechodzić coraz liczniej na drugą stronę. Szły jakby uroczyste korowody starców i ludzi dojrzałego wieku, i mężów z żonami, i matek prowadzących za rękę dzieci maleńkie, i młodzieńców, i dziewcząt, a potem tysiące i miliony ludzi zaczęły się tłoczyć u Cichego Przejścia, aż wreszcie Łaca Życia wyludniła się prawie zupełnie. Wówczas Wisznu, którego zadaniem było strzec Życia, przeraził się własną, udzieloną w gniewie, radą i nie wiedząc, co począć, udał się do najwyższego Brahmy.

– Stworzycielu – rzekł – ratuj Życie! Oto dziedzinę Śmierci uczyniłeś tak jasną, tak piękną i szczęsną, że wszyscy opuszczają moje królestwo.

– Zali nie pozostał ci nikt? – spytał Brahma.

– Jeden tylko młodzieniec i jedna dziewczyna, panie, którzy, kochając się niezmiernie, woleli wyrzec się wiecznego ukojenia, niż zamknąć oczy i nie patrzeć na siebie więcej.

– Czego więc żadasz?

– Uczyń krainę Śmierci mniej piękną i szczęśliwą, bo inaczej i tych dwoje opuści mnie za innymi, gdy minie wiosna ich miłości.

Na to Brahma zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Nie! Nie ujmę piękności i szczęścia krainie Śmierci, ale uczynię co innego, by uratować Życie. Odtąd ludzie muszą przechodzić na drugą stronę, ale nie będą już przechodzili chętnie.

To rzekłszy utkał z ciemności grubą, nieprzeniknioną zasłonę, a potem stworzył dwie straszne istoty, z których jedna zwała się Boleść, a druga Trwoga, i kazał im tę zasłonę zawiesić u przejścia.

I od tej chwili Łąka Wisznu zaroiała się znowu Życiem, bo jakkolwiek kraina Śmierci pozostała tak samo jasna, cicha i szczęśliwa jak poprzednio, ludzie bali się Przejścia.

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA

LEGENDA INDYJSKA

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Krysna zamyślił się głęboko i rzekł:

– Myślałem, że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi – i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, kołysany nocnym powiewem. O ile on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca – i oczu nie mogę od niego oderwać... Tak, nie ma między ludźmi nic podobnego – powtórzył z westchnieniem.

Ale po chwili pomyślał:

– Dlaczego bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, która by była tym między ludźmi, czym lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi! Lotusie, zmień się w żyjącą dziewczycę i, stań przede mną!

Zadrzała wnet leciuchno fala, jakby tracona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniejsze nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Krysna stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

– Byłaś kwiatem jeziora – rzekł – bądź odtąd kwiatem myśli mojej i – przemów!

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem:

– Panie! Zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać będziesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdym tchnieniem wiatru. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać będziesz?

Krysna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, po czym spytał:

– Chcesz żyć na szczytach gór?

– Tam śniegi i zimno, panie; boję się.

– A więc... zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

– W głębinach wód przesuwiają się węże i inne potwory; boję się, panie!

– Chcesz stepów bez końca?

– O panie! Wichry i burze tratują stepy na kształt stad dzikich.

- Cóż z tobą uczynić, kwiecie wcielony?... Ha! W pieczarach Ellory żyją święci pustelnicy...
- Czy chcesz zamieszkać z dala od świata, w pieczarze?
- Ciemno tam, panie; boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na rękę. Dziewczyna stała przed nim drżąca, przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłocila się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żurawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali w lasach, a do wtóru im rozlegały się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

- To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających liany, i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrawszy wcielony lotus przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się z wolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnym dziełem i rzekł:

- Zbudź się, Walmiki, i przemów!

I Walmiki przemówił:

- ...Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

- Cudna dziewczyno, znalazłem godne cię miejsce na świecie: zamieszkać w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

- ...Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa, poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystym jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

- Kwiecie wcielony – spytał – czy i serca poety się boisz?

- Panie – odpowiedziała dziewczyna – gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tym jednym sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry i mądry Kryszna rzekł:

- Uspokój się, kwiecie wcielony! Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłym tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

- I bądź błogosławiona!

SĄD OZYRYSA

PRZEŁOŻYŁ Z EGIPSKIEGO PAPIRUSU HENRYK SIENKIEWICZ

A gdy umarł w Egipcie syn Psunabudesa, Psunabudes, wielki minister któregoś tam Tutmesa, z którejś dynastii panującej przed napadem Hyksów, dwie nieśmiertelne Idee pokłóciły się o jego duszę tak zapalczywie i napełniły takim hałasem nieskończone przestworza cichej wieczności, iż wszechmocny Ozyrys kazał im stanąć przed sobą i zapytał:

– Kto wy jesteście, o duchy, kto jest ten grzesznik, którego me jastrzębie oko dostrzega między wami i dlaczego w krainie Ciszy klóćcie się jak dwie przekupki z Memfis?

– A na to tak odpowiedział pierwszy z duchów:

– Ja, panie, jestem nieśmiertelna Głupota. Opiekowałam się tu obecnym Ekscelemcją Psunabudesem jak kochająca matka. Dyktowałam mu wszystkie jego słowa, byłam mu przewodniczką we wszelkich czynach. Nie odstępowałam go ani na chwilę, a ponieważ i on trzymał się mojej szaty stale i wiernie, ponieważ całe życie był, wedle egipskiego przysłowia, głupi jak stolowe nogi, przeto chcę zabrać teraz jego duszę i umieścić ją w tej zaziemskiej krainie, którą władam, a która przeznaczona jest na wiekuiste siedlisko durniów.

Ozyrys zwrócił się do drugiego ducha:

– Mów ty teraz – rzekł biorąc w ręce wagi, na których ważył wszelkie myśli, słowa i uczynki.

– Ja, o panie, jestem nieśmiertelna Niegodziwość. Nie przeczę wcale, że Jego Ekscelemcja Psunabudes popełniał często na swym wysokim stanowisku błędy godne osła, ale twierdzę, że przede wszystkim był szubrawcem. Jeśli pozwolisz, panie, przytoczę ci na to tysiączne dowody, których Głupota, choćby dlatego że jest Głupota, nie potrafi nigdy obalić.

– Głupota – przerwał Jastrzębiooki, podnosząc do góry swój opatrznosciowy palec – nie umie tylko budować, często natomiast umie obalać, co powiedziawszy nawiasem, pytam się następnie, czego żadasz?

– Chcę, panie, zabrać tę duszę i umieścić ją w tej zaziemskiej krainie, którą ja władam, a która przeznaczona jest na pośmiertne wiekuiste siedlisko dla łotrów.

To mówiąc chwyciła za rękę Psunabudesa, ale w tej samej chwili Głupota chwyciła go za drugą, i obie, tamując dech w piersiach, czekały na wyrok Sprawiedliwego.

A Sprawiedliwy wpił swój ptasi wzrok w Psunabudesa i przypatrywał mu się przez czas dłuższy, a wreszcie rzekł:

– Widzę, że obie macie do niego prawo, więc chętnie bym was wysłuchał i rozsądził, ale zaprawdę położenie jest dziwne. Oto twoje dowody, o Głupoto, będą głupie, a twoje, o Niegodziwości, niegodziwe. Wobec tego nie mogę ich rozważać, a zatem żadnej z was nie mogę udzielić głosu. Jakaż więc na to jest rada? Oto zawołam Mądrości, która wszystko przenika, i rozkażę jej, aby mi przedstawiła w krótkich a mądrych słowach i żywot Jego Ekscelencji, i waszą sprawę.

– O panie – szepnęła Głupota – Mądrość jest moją osobistą nieprzyjaciółką.

Sprawiedliwy podniósł znów w górę swój opatrnościowy palec.

– Wierz mi, Głupoto, że prawdziwa Mądrość jest zarówno nieprzyjaciółką Niegodziwości, jak i twoją.

I w tejże chwili przywołał Mądrość, a ta stawiała się natychmiast i spojrzawszy na Psunabudesa nie zdziwiła się wprawdzie, albowiem Mądrość niczemu się nie dziwi, ale uśmiechnęła się jakby z pewnym zadowoleniem i rzekła:

– Ach, to Jego Ekscelencja, który tajnym okólnikiem do gubernatorów zabronił mi pobytu w Egipcie!...

– Dla dobra państwa, słowo uczciwości... – począł się tłumaczyć Psunabudes.

Lecz Ozyrys nakazał mu milczenie, sam zaś zapytał:

– Powiedz mi, Mądrości, czy ten zakaz był bardziej głupi, czy niegodziwy?

– Jednakowo, zupełnie jednakowo! – odpowiedziała Mądrość.

Więc Sprawiedliwy położył równe ciężarki na szalach, oparych o stopień jego tronu.

– Mów dalej – rzekł – aby się stało wreszcie wiadomo, który z tych dwóch duchów ma pomyśleć o najwłaściwszym dla Ekscelencji osiedleniu.

Więc Mądrość poczęła streszczać całe życie Psunabudesa, od wczesnej młodości aż do ostatniej chwili jego ziemskiej podróży. Wspomniała, jak w akademii, w stubramnych Tebach, był zaciekle liberalnym, jak wstąpiwszy następnie do urzędu, zapisał się niebawem do działaczy państwowych i drwił z zasad, które za studenckich czasów wygłaszał, jak pod hasłem: „Egipt dla Egipcjan!” pracował nad zjednoczeniem państwa pod władzą memfickiej biurokracji, jak wreszcie w ciągu długiego swego zawodu ustawicznie kogoś podejrzewał, coś wietrzył, przeciwko komuś wysyłał raporty, przed czymś ostrzegał, czegoś nie dopuszczał, coś zamykał, coś ukracał – i zamiast rozszerzać ludzką działalność i ludzkie życie, ustawicznie je obrzydzał, krępował i ograniczał.

– Czy nie sądzisz, że to są szelmostwa? – przerwał Ozyrys dorzucając ciężaru na szalę Niegodziwości.

– Nie przeczę, o Wszechtreściwy – odrzekła Mądrość – ale pozwolę sobie zauważyć, że była w tym i głupota tak wielka jak piramida Cheopsa, albowiem Psunabudes, pracując niby dla potęgi Egiptu, w gruncie rzeczy go osłabiał, pracując niby dla jego sławy, ostatecznie go zohydzał, pracując niby dla porządku w państwie, wtrącał je w bezład i tworzył mu wewnętrznych nieprzyjaciół, a przy tym nigdy w jego zakutej głowie nie powstała ani na chwilę myśl, że cała jego robota może przynieść tylko szkody i klęski.

- Jeśli tak – rzekł Sprawiedliwy – to trzeba dorzucić i na szalę Głupoty.
- Trzeba! – powtórzyła Mądrość – ale słuchaj mnie, panie, dalej. Został potem Psunabudes gubernatorem prowincji północnej Ptah, zamieszkałej przeważnie przez Fenicjan i Greków, i zarówno jednych, jak i drugich począł gorliwie przerabiać na Egipcjan. Zabraniał im mówić i pisać na papirusach we własnym języku, prześladował ich wiarę i pozamykał ich szkoły, a przede wszystkim kazał im nosić czepki, które, jak wiadomo, są narodowym egipskim pokryciem głowy. W jego przekonaniu czepek stanowił Egipcjanina, jakie zaś myśli wrzały w tych głowach, którym narzucił czepki, nad tym nie był się zdolny zastanowić. Ci wszakże, którzy nie chcieli nosić czepków, mogli się od nich uwolnić łąpówką, w ten bowiem sposób wzrastał majątek gubernatora.

Ozyrys podniósł po raz trzeci palec do góry i rzekł z powagą:

- łąpówki nie dowodzą głupoty.

- Zapewne, panie, ale nie dorzucaj ich na szalę Niegodziwości, ponieważ w Egipcie wszyscy dygnitarze uważają łąpówki za zwyczaj tak powszechny i tak zgodny ze starą tradycją egipską, że biorą je z zupełnie czystym sumieniem.

- Masz słuszość i jako bóg egipski nie powinienem być o tym zapominać. Nie dorzucę też nic na żadną szalę, póki nie powiesz, jak postępował Psunabudes jako minister faraona?

- Egipt, jak ci wiadomo, Sprawiedliwy, potrzebował wielkich i głębokich reform. Otóż Psunabudes, zostawszy ministrem, postarał się przede wszystkim o to, by reformy nie były wielkie i głębokie, ale drobne i płytkie. Egipt potrzebował nowych i mądrych ludzi, którzy by byli przyjaciółmi wyżej wspomnianych reform, Psunabudes zaś powierzył ich wykonanie dawnym, głupowatym urzędnikom, którzy byli ich wrogami. Jaka z tego powstawała karykatura i jaka szkoda dla Egiptu, to łatwo pojmie nie tylko tak przenikliwy umysł jak twój, panie, albo jak umysł krokodyla, kota lub ichneumona, ale nawet zwykły, miałki rozum człowieka. Psunabudes był zbyt tępy, by rozumieć, iż państwo musi być od podstaw do szczytu przebudowane, a za mało uczciwy, by przeprowadzić sumiennie nawet te zmiany, których konieczność uznał i zrozumiał sam faraon.

- Niech mnie ibis kopnie – rzekł Ozyrys dorzucając na obie szale – jeśli wiem, która w końcu przeważy!

A słowa Mądrości płynęły dalej:

- Oszukiwał zarówno faraona, jak i lud. Faraonowi groził buntem ludu, ludowi wszczepił przekonanie, że faraon chce go utrzymać w niewoli. Podrwał władzę faraona, a nie rozszerzył wolności. Za jego czasów powiększyły się głody w Egipcie, a kraj napęłnił się rozbójnikami.

- Chwała bogu, to jest chwała mnie samemu! – zawołał Ozyrys – tu już nie ma przynajmniej wątpliwości, że to są łądactwa czystej wody!

- O! nie tylko łądactwa – odpowiedziała łagodnie Mądrość – gdyż Psunabudes okazał przy tym mniej rozumu, niż go posiada pęcherz wielbłąda. Czyny jego były złowrogie, ale on sam był durniem i głupota jego była tym większa, że się uważał za mądrego. Niezdolny był zrozumieć, że gdzie trzeba wielkiej i twórczej polityki, tam szachrajstwo nie może wystarczyć, i szachrował, szachrował bez końca.

- Prawda! masz słuszość jak zawsze i tylko tak dokładne wagi jak moje wskazać nam mogą, co z nim uczynić należy.

– Kilka słów muszę jeszcze dodać, o Wszechkuliście! Psunabudes drwił sobie z Egiptu, nie dbał o faraona, myślał zawsze tylko o sobie, więc można by mniemać, że był tylko szuja. Ale zważ jednak, panie, że gdyby Psunabudes rządził mądrze i uczciwie, to zyskałby na tym Egipt, a on sam nie tylko nic by z własnych korzyści nie uronił, ale stałby się jeszcze potężniejszym i sąd historii wypadłby o nim inaczej.

– Więc znów chcesz powiedzieć, że osiel przeważał w nim jednak nad łotrem?

– Podnieś, o Sprawiedliwy, wagi, a przekonamy się natychmiast.

Ozyrys podniósł szale i trzymał je w górze, póki nie uspokoiły się zupełnie. Po czym spojrzął i zdziwienie, ale zarazem i zmieszanie odbiło się na jego boskim obliczu.

– Na święty ogon Apisa! – zawołał – głupota i szelmstwo nie przeważają się wzajem ani na jeden włos z mej brody. Co teraz robić? Co robić?...

Jastrzębioki odrzucił wagi, objął głowę dłońmi i przymknął oczy.

Po chwili jednak twarz rozjaśniła mu się promiennym uśmiechem i zwróciwszy się do Psunabudesza począł mówić z wolna i uroczyście:

– Ekscelencjo! Żaden z greckich, fenickich ani z tutejszych młodszych bogów nie wiedziałby, co z tobą uczynić, gdyż widzisz, że nawet i Mądrość drapie się w tej chwili w głowę. ...Ale nie próżno zowią mnie bogi i ludzie Wszechmocnym, bo oto wszechmocą moją rozcinam, jak mieczem faraona, wszelkie trudności i ogłaszam ci wyrok następujący:

– Wróć do życia i wróć na ziemię. Bądź do końca świata ministrem faraonów i rozmaitych ludów: zabiegaj, kręć, prowadź, prezyduj, rządź...

...A gdy spełnią się wieki, musi się w końcu pokazać, czy jesteś większym łotrem czy osłem...

...Wtedy i ja będę wiedział który z tych dwóch duchów ma ci przygotować wieczystą rezydencję.

To rzekłszy obrócił Psunabudesza twarzą do niebieskich schodów i nagłym rozmachem swej boskiej stopy przyśpieszył jego powrót na ziemię.

W przepaściach wieczności zapadła głęboka cisza; natomiast Egipt zgotował widocznie owację zmartwychwstałej Ekscelencji, albowiem aż do bram nieba jęły dochodzić chóralne głosy, śpiewając radośnie:

– Psunabudes! O, Psunabudes!...

Mądrość zaczęła się śmiać cicho.

WYROK ZEUSA

BAJKA GRECKA

Raz wieczorem spotkali się na skałach Pnyksu Apollo i Hermes i stanawszy na krawędzi wiszaru spoglądali na Ateny.

Wieczór był cudny; słońce przetoczyło się już z Archipelagu ku Morzu Jońskiemu i zanurzało z wolna swą promienną głowę w turkusową, gładką roztocz. Ale szczyty Hymetu i Penteliku świeciły jeszcze jakby oblane stopionym złotem i prócz tego na niebie była zorza wieczorna. W blaskach jej tonał cały Akropol. Białe marmury Propylejów, Partenonu i Erechtejonu wydawały się różowe i tak lekkie, jakby kamień stracił wszelką wagę lub jakby były sennym zjawiskiem. Ostrze włóczni olbrzymiej Ateny Promachos płonęło w zorzy niby zapalona nad Attyką pochodnia.

Na niebie ważyło się na rozpostartych skrzydłach kilka jastrzębi, które leciały na nocleg do gniazd ukrytych w skałach.

Ludzie wracali gromadami z robót polnych do miasta. Drogą od Pireus szły muły i osły, dźwigając zawieszane po bokach kosze pełne oliwek lub złocistego winogrodu; za nimi, w czerwonych obłokach kurzu, ciągnęły stada kóz krętorogich, przed każdym stadem kozieł białobrody, po bokach psy czujne, z tyłu pasterz grający na multankach lub cienkim źdźble owsianym.

Między stadami posuwały się z wolna wozy wiozące boski jęczmień, ciągnięte przez woły leniwe; tu i ówdzie mijaly się oddziały hoplitów, przybranych w miedz, dążących na nocną straż do Pireus lub Aten.

W dole miasto wrzało jeszcze życiem. U wielkiej fontanny, w pobliżu Poikile leżącej, młode dziewczęta, przybrane w białe szaty, czerpały wodę, śpiewając, chychocząc głośno lub broniąc się chłopcom którzy zarzucali na nie pęta plecione z bluszczów i wiciokrzewu. Inne, naczerpawszy już wody, z amforami, wspartymi na ramieniu, i ręką wzniesioną do góry, szły do domów lekkie i wdzięczne, do nimf nieśmiertelnych podobne.

Łagodny wietrzyk, z równiny attyckiej wiejący, donosił do uszu dwóch bogów odgłosy śmiechu, śpiewów i pocałunków.

„W dal godzący” Apollo, dla którego oczu nie było nic pod niebem milszego nad niewiastę, zwrócił się do Argobójcy i rzekł:

– O synu Mai, jakże piękne są Atenki!

– I cnotliwe, mój Promienisty – odpowiedział Hermes – bo pod opieką Palady zostają.

Srebrnołuki bóg umilkł i patrzył, a słuchał dalej. Tymczasem zorze z wolna gasły, ruch stopniowo ustawał; niewolnicy scytyjscy zamknęli bramy i wreszcie uczyniło się cicho. Noc ambrozyjska rzuciła ciemną, nabijaną gwiazdami, zasłonę na Akropol, miasto i okolicę.

Lecz mrok nie trwał długo. Wkrótce z Archipelagu wynurzyła się biała Selene i poczęła żeglować jak srebrna łódź po niebieskim przestworzu. I znów rozświeciły się marmury na Akropolu, tylko świeciły teraz jasnozielonym światłem i były jeszcze do sennego zjawiska podobniejsze.

– Trzeba przyznać – rzekł „W dal godzący” – że Atene cudną sobie obrała siedzibę.

– Ha! mądra ona! Któż mógł lepiej od niej wybrać? – odpowiedział Hermes.
– Przy tym Zews ma dziwną do niej słabość. Byle go tylko, prosząc o coś, pogłaskała po brodzie, zaraz nazwie ją swą Tritogeneją, córeczką kochaną, wszystko przyrzeknie i na wszystko skinieniem głowy przyzwoli.

– Tritogeneja nudzi mnie czasem – mruknął syn Latony.

– Zauważyłem to i ja, że ona staje się teraz nudna – odpowiedział Hermes.

– Jak stary perypatetyk. A przy tym i cnotliwa do obrzydliwości, zupełnie jak moja siostra Artemis.

– Albo jak jej własne służki, Atenki.

Promienisty zwrócił się ku Argobójcy:

– Drugi raz już wspominasz, jakby umyślnie, o cnocie Atenek. Czy one naprawdę takie niezłomne?

– Bajecznie, o synu Latony!

– Proszę! – rzekł Apollo. – A czy sądzisz, że jest w tym mieście choć jedna kobieta, która by się oparła mnie?

– Myślę, że tak.

– Mnie? Apollinowi?

– Tobie, mój Promienisty!

– Mnie, który ją opętam poezją, oczaruję pieśnią i muzyką?

– Tobie, mój Promienisty!

– Gdybyś był uczciwym bogiem, gotów bym pójść o zakład. Ale ty, Argobójco, jeśli przegrasz, ulotnisz się natychmiast razem ze swymi sandałami, z posochem, i tyle cię będę widział!

– Nie. Położę jedną rękę na ziemi, drugą na morzu i przysięgnę na Hades.

– Takiej przysięgi dotrzymuję nie tylko ja, ale nawet członkowie magistratu w Atenach.

– No! to znów przesadzasz. Ale dobrze! Jeśli przegrasz, musisz mi dostawić na Trinakie stado długorogich wołów, które ukradniesz u kogo ci się podoba, tak jak w swoim czasie, będąc jeszcze chłopięciem, ukradłeś moje stada na Pierii.

– Zgoda! A co dostanę, jeśli wygram?

– Wybierzesz, co chcesz.

– Słuchaj mnie, „W dal godzący”, będę z tobą szczerą, co, jak wiesz, nieczęsto mi się zdarza. Raz posłany przez Zewsa, nie pomnę już w jakiej sprawie, przelatywałem właśnie nad twoją Trinakią i ujrzałem Lampecję, która wraz z Featużą strzeże tam twoich stad. Od tej chwili nie mam spokoju. Lampecja nie schodzi mi z oczu, z pamięci, kocham ją i wzdycham do niej dniem i nocą. Jeżeli wygram, jeżeli znajdzie się w Atenach kobieta tak cnotliwa, że ci się oprze, dasz mi Lampecję. Niczego więcej nie żądam.

Srebrnołuki począł kiwać głową.

– Że też miłość umie się zagnieździć nawet w sercu patrona kupców. Ale bardzo chętnie. Dam ci Lampecję, tym bardziej że ona teraz nie może się po-

godzić z Featużą. Mówiąc nawiasem, obie są zakochane we mnie i dlatego się kłóca.

Radość wielka strzeliła z oczu Argobójcy.

– Więc zakład stoi – rzekł. – Jedno tylko: kobietę, na której chcesz próbować swojej boskiej mocy, ja ci wybiorę.

– Byle była piękna!

– Będzie godna ciebie.

– Przyznaj się, żeś już jakąś upatrzył.

– Przyznaję.

– Dziewica, mężatka czy wdowa?

– Rozumie się, mężatka. Pannę czy wdowę. mógłbyś sobie zjednać obietnicą małżeństwa.

– Jak jej na imię?

– Eryfila. Jest to żona piekarza.

– Piekarza? – spytał, krzywiąc się, Promienisty. – To mi się mniej podoba.

– Cóż chcesz! Ja w tych kołach najczęściej się obracam... Męża Eryfili nie ma obecnie w domu; pojechał do Megary. Ta piekarczowa jest najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po matce ziemi.

– Ciekawym.

– Jeszcze jeden warunek, mój Srebrnołuki. Przynajmniej mi, że użyjesz tylko sposobów godnych ciebie i nie postąpisz w żadnym razie, jak by postąpił taki na przykład gbur jak Ares lub nawet, mówiąc między nami, jak postępuje ojciec nasz wspólny, Chmurozbiórca.

– Za kogo mnie masz! – rzekł Apollo.

– Zatem wszystko umówione i mogę ci pokazać Eryfilę.

Powietrze zniosło zaraz obydwóch bogów z Pnyksu i po chwili zawiśli obaj nad jednym z domów opodal Stoa. Argobójca podniósł potężną dłoń całą wierzch domu równie łatwo, jak gospodyni gotująca strawę podnosi pokrywę garnka i, ukazując niewiastę siedzącą w zamkniętym od ulicy miedzianą kratą i wełnianą zasłoną sklepie, rzekł:

– Patrz!

Apollo spojrział i skamieniał.

Nigdy Attyka, nigdy cała ziemia grecka nie wydała piękniejszego kwiatu nad tę niewiastę. Przy blasku potrójnego kaganka siedziała pochylona nad stołem i zapisywała coś pilnie na marmurowych tabliczkach. Długie jej spuszczone rzęsy rzucały cień na policzki, chwilami jednak podnosiła głowę i oczy w górę, jakby się namyślając i przypominając sobie, co jeszcze ma zapisać, a wówczas widać było jej cudne źrenice, tak błękitne, że przy nich turkusowa toń Archipelagu wydałaby się bladą i spłowiałą. Była to po prostu twarz Kiprydy, biała jak piana morska, zaróżowiona jak jutrzienka, o purpurowych jak syryjska purpura ustach i złocistej fali włosów – piękna, najpiękniejsza na ziemi – piękna jak kwiat, jak światło, jak pieśń!

Gdy spuszczała oczy, wydawała się cichą i słodką, gdy je podnosiła w zamysleniu – natchnioną. Pod Promienistym poczęły drżeć boskie łydki, nagle wsparł głowę na ramieniu Hermesa i szepnął:

– Hermesie, ja ją kocham! Ta albo żadna!

Hermes uśmiechnął się chytrze i byłby zatarł z radości ręce pod fałdami chleny, gdyby nie to, że w prawicy trzymał posoch.

Tymczasem złotowłosa wzięła tabliczkę i poczęła na niej pisać. Rozchyliły się przy tym jej boskie usta i zaszemrał jej głos, do głosu formingi podobny:

–...Członek Areopagu Melanokles za chleb przez dwa miesiące: drachm czterdzieści pięć i cztery obole... napiszmy dla okrągłości drachm czterdzieści sześć... Na Atenę! napiszmy pięćdziesiąt – mąż będzie kontent. Ach, ten Melanokles... Gdybyś ty nie mógł przyczepić się do nas o fałszywą wagę, dałabym ja ci kredyt... Ale z szarańczą trzeba być dobrze...

Apollo słów nie słuchał, poił się tylko dźwiękiem głosu, urokiem postaci i szeptał:

– Ta albo żadna!

Złotowłosa mówiła, pisząc, dalej:

– Alcybiades, za przasne placki na miodzie z Hymetu dla hetery Chryzalis: min trzy. Ten nigdy nie sprawdza rachunków, przy tym poklepał mnie raz na Stoa po łopatce... napiszmy więc: min cztery. Kiedy głupi, niech płaci... Ale też i ta Chryzalis!... Chyba karmi plackami swoje karpie w sadzawce albo może Alcybiades umyślnie ją tuczy, by ją potem sprzedać kupcom fenickim za kółka z kości słoniowej do upręży.

Apollo na słowa nie zważał, poił się tylko głosem i szeptał do Hermesa:

– Ta albo żadna!

Lecz syn Mai nakrył nagle dom i cudne zjawisko znikło, a Promienistemu zdawało się, że razem z nim nikną gwiazdy, czernieje księżyc i świat cały przesłania się ciemnością krain kimeryjskich.

– Kiedy się zakład ma rozstrzygnąć? – spytał Hermes.

– Dziś, natychmiast!

– Ona pod niebytność męża sypia w sklepie. Możesz tam stanąć na ulicy, przed tą kratą. Jeśli odsunie zasłonę i kratę ci otworzy, ja zakład przegrałem.

– Przegrałeś! – zawołał „W dal godzący”.

I nie tak szybko letnia błyskawica przebiega nocą między wschodem a zachodem, jak on pomknął nad słone fale Archipelagu. Tam uprosiwszy Amfitrytę o pustą skorupę żółwia, nawiązał na niej promieni słonecznych i z gotową formingą powrócił do Aten.

W mieście było już zupełnie cicho, światła pogasły, tylko domy i świątynie bieleły w blasku księżyca, który wysoko wypłynął na niebo.

Sklep leżał w załamaniu murów, a w nim, za kratą i zasłoną, spała prześliczna Eryfila. Promienisty, stanawszy na ulicy, począł uderzać w struny formingi. Pragnąc obudzić lekko swą ukochaną, zagrał z początku tak cicho, jak cicho wieczorem wiosennym brzęczą roje komarów nad Ilissem. Lecz pieśń wzbierała stopniowo niby górski strumień po boskim deszczu i coraz potężniejsza, słodsza, bardziej upajająca napełniała całe powietrze, które poczęło drżeć lubieżnie. Tajemniczy ptak Ateny przyleciał cichym lotem od strony Akropolu i siadł na pobliskiej kolumnie nieruchomy.

Wtem nagie ramie, godne Fidasza lub Praksytela, bielsze od pentylickich marmurów, odsunęło zasłonę. W Promienistym zamarło serce ze wzruszenia.

I rozległ się głos Eryfili:

– Co tam za chłystek włóczy się po nocy i brzdąka?! Nie dość się człowiek w dzień napracuje, jeszcze mu w nocy spać nie dadzą!

– Eryfilo! Eryfilo!— zawołał Srebrnołuki.

I począł śpiewać:
Z Parnasu wyniosłych szczytów,
Gdzie w blasku i wśród błękitów
Natchnione Muzy koleją
Natchnione pieśni mi pieją:
Ja bóg! Ja światłość uczczona
Spływam!... Ty otwórz ramiona,
A wieczność będzie mi chwilą
Na piersi twej, Eryfilo!

– Na świętą mąkę ofiarną! – zawołała żona piekarza. – Ten urwis do mnie śpiewa i mnie tu chce zbałamucić!... A nie pójdziesz ty do domu, utrapieńcze?!

Promienisty, chcąc ją przekonać, że nie jest zwykłym śmiertelnikiem, zaświecił tak, że od jego blasku zajaśniała ziemia i powietrze – lecz Eryfila widząc to zawołała:

– Schował nicpoń latarkę pod chleną i za jakiegoś boga mi się tu podaje! O córko możnego Diosa! Podatkami umieją nas cisnąć, a nie ma za to nawet straży scytyjskiej w mieście, która by takich wartogłowów do kozy brała!

Apollo nie dał za wygraną i śpiewał dalej:

Ach otwórz ramiona białe,
Ja ci wieczystą dam chwałę...
Nad wszystkie w niebie boginie
Imię twe w świecie zasłynie –
Ja nieśmiertelność dam tobie,
Jak cię tak, piękna, ozdobię
Potęgą boskiego słowa,
Że żadna w Grecji królowa
Nie będzie tak uwielbiana!

Ach, otwórz, otwórz, ramiona!...

Z błękitów obedrę morze,
Z purpury i złota zorze,
Z skier gwiazdy, a z rosy kwiaty
I z tej świetlistej tkaniny
Uczynię dla mej jedynej
Tęczowe Kipydy szaty...

I głos boga poezji brzmiał tak cudnie, że cud wywołał. Oto wśród ambrozyjskiej nocy zadrgała złocista włócznia w ręku stojącej na Akropolu Ateny i marmurowa głowa olbrzymiego posągu zwróciła się nieco ku Katapolis, by lepiej słuchać słów pieśni... Słuchały niebo i ziemia; morze przestało szumieć i legło ciche przy brzegach; nawet blada Selene przerwała swą nocną po niebie wędrówkę i stanęła nad Atenami nieruchoma.

A gdy Apollo skończył, wstał lekki wiatr i niósł pieśń przez całą Grecję, gdziekolwiek zaś zasłyszało choć jeden jej ton dziecko w kolebce, tam z tego dziecka miał wyrosnąć poeta.

Lecz zanim jeszcze syn Latony skończył, gniewna Eryfila poczęła krzyczeć głośno:

– Głupiec jakiś! Rosą tu będzie kupczył i gwiazdami. Że męża w domu nie ma, to myślisz, że wszystko ci wolno? Hej, szkoda, że czeladzi nie mam pod ręką, nauczyłabym ja cię rozumu! Ale i tak oduczę cię, mydłku, włóczyć się po nocy z bałabajką!

To rzekłszy porwała za dzieżę z kwasem rozczynowym i, chlusnąwszy przez kratę, oblała Promienistemu promienistą twarz, promienisty kark, promienistą chlenę i formingę. Jęknął na to Apollo i, zakrywając swą natchnioną głowę połą mokrej chleny, odszedł we wstydzie i złości.

A czekający na Pnyksie Hermes brał się za boki, stawał na głowie i wywijał z radości posochem.

Gdy jednak strapiony syn Latony zbliżył się ku niemu, chytry opiekun handlarzy udął współczucie i rzekł:

– Przykro mi, żeś przegrał, o „W dał godzący”!

– Idźże precz, francie! – odrzekł z gniewem Apollo.

– Pójdę, tylko mi oddasz Lampecję.

– Bodaj ci Cerbers łydki poszarpał! Nie dam Lampecji i mówię: idź precz! bo ci twój posoch na głowie połamię.

Argobójca wiedział, że gdy Apollo zły, to nie ma z nim żartów, więc odsunął się przezornie i rzekł:

– Jeśli chcesz mnie oszukać, to bądźże ty nadal Hermesem, a ja zostanę Apollinem. Wiem, że nade mną potęgą górujesz i że ukrzywdzić mnie możesz, ale na szczęście jest ktoś od ciebie mocniejszy i ten nas rozsądzi. Wzywam cię, Promienisty, na sąd Kronida!... Chodź ze mną!

Zląkł się imienia Kronida Apollo, nie śmiał odmówić i poszli.

A tymczasem poczęło światać. Attyka wychyliła się z cienia. Różanopalca jutrzienka weszła na niebo od strony Archipelagu.

Zews spędził noc na szczycie Idy – a czy spał, czy nie spał i co tam robił, nikt tego nie wiedział, bo Mgłonośca osłonił się mgłą tak gęstą, że nawet Hera nic przez nią dostrzec nie mogła. Hermes drżał trochę, zbliżając się do ojca bogów i ludzi.

– Słuszność po mojej stronie – myślał – lecz nuż Zews zbudził się gniewny, nuż, nim wysłucha, porwie kolejno każdego za nogę, zakręci nad głową i ciśnie na jakie trzysta staj ateńskich. Jeszcze na Apollina ma on wzgląd jakiś, ale ze mną, choć synem jego jestem, nie będzie robił ceremonii.

Lecz płonna była obawa syna Mai. Kronid siedział na ziemi wesół, bo mu noc zeszła wesoło, i w chwale radosnej ogarniał świecącymi oczyma krąg ziemski. Ziemia, uradowana ciężarem ojca bogów i ludzi, rodziła pod nim jasną majową trawkę i młode hiacynty, a on, wspierając się o nią dłońmi, przebierał palcami w kędzierzawym kwieciu i cieszył się w sercu wyniosłym.

Widząc to syn Mai ochłonał i, oddawszy pokłon rodzicielowi, śmiało zaczął Promienistego oskarżać – a nie tak gęsto padają płatki śnieżne w czasie zady, jak gęsto padały jego słowa wymowne.

Gdy skończył, Zeus milczał przez chwilę, potem ozwał się do Apollina:

– Prawdaż to wszystko, Promienisty?

–Prawda, ojczy Kronidzie – odrzekł Apollo – ale jeśli po hańbie, jaka mnie spotkała, jeszcze mi zakład płacić każesz, tedy zstąpię do Hadu i ceniom będę świecił.

Zews zamyślił się znowu i rozważał.

– Więc ta kobieta – spytał na koniec – pozostała głuchą na twoją muzykę, na twoją pieśń i odtrąciła cię ze wzgardą?

– Wylała mi dzieżę kwasu na głowę, o Gromowładny!

Zews zmarszczył brwi, a od tego zmarszczenia zadrżała zaraz Ida. Odłamy skał zaczęły się toczyć z hukiem w morze, a lasy pokładły się jak kłos, którym wiatr żenie.

Struchleli obaj bogowie i z bijącymi sercami czekali wyroku.

– Hermesie – rzekł Zews – oszukuj, ile chcesz, ludzi, ludzie chcą być oszukani. Ale bogom daj pokój, albowiem jeżeli gniewem zapłonę i rzucę cię w eter, to spadłszy, zanurzysz się tak głęboko w toni Okeanu, że nawet brat mój, Posejdon, nie wydobędzie cię stamtąd trójzębem.

Boski strach chwycił Hermesa za gładkie kolana, Zews zaś mówił dalej coraz potężniejszym głosem:

– Kobieta cnotliwa, zwłaszcza gdy kocha innego, może oprzeć się Apollinowi...

...Ale z pewnością i zawsze oprze mu się kobieta głupia...

...Eryfila jest głupia, nie cnotliwa, i dlatego mu się oparła.

...Przetoś ty oszukał Promienistego... i Lampecji mieć nie będziesz... A teraz idźcie w spokoju!

Bogowie odeszli.

Zews został sam w swej chwale radosnej. Przez chwilę patrzył milcząc w ślad za odchodzącym Apollinem i mruknął z cicha:

– O tak! Jemu przede wszystkim potrafi się oprzeć kobieta głupia.

I zaraz po tym, ponieważ był niewywczasowan bardzo, skinał na Sen, który, siedząc na pobliskim drzewie w postaci krogulca, czekał na rozkazy ojca bogów i ludzi.

DIOKLES

BAŚŃ ATEŃSKA

Boski Sen ukoił Ateny i w ciszy głuchej można było nieledwie usłyszeć oddech śpiącego miasta. Blask księżyca pogrążył jakby w rozlewnej, srebrnej i sennej kąpeli wzgórza, Akropol, świątynie, lasy oliwne i kępy czarnych cyprysów. Ucichły fontanny, zasnęły strażę scytyjskie przy bramach, zasnęło miasto, zasnęła okolica.

Wśród głębokiej nocy czuwał tylko młody Diokles – i wsparłszy czoło na stopach posągu Pallady, bielejącego w ogrodach Akademii, objął ramionami nogi bogini i wołał:

– Ateno, Ateno! Ty, która niegdyś zjawiałaś się widomie oczom ludzkim, usłysz mnie! Zmiłuj się nade mną! Wysłuchaj mojej modlitwy!

I oderwawszy czoło od marmurowych nóg Dziewicy, wznosił oczy ku jej twarzy, którą rozświecał w tej chwili wąski promień księżyca, lecz odpowiedziało mu milczenie. Nawet zwykły w godzinach nocnych lekki powiew od morza ucichł i żaden liść nie poruszał się na drzewach.

Więc serce wezbrało w chłopcu żalem niezmiernym, a żal ów począł mu spływać łzami po cudnej twarzy.

– Ciebie jedną chcę czcić i wysławiać nad wszystkie bogi – błagał dalej – ciebie jedną, patronko moja! Aleś ty sama wlała mi w duszę tę tęsknotę i tę żądę, która mnie pali jak ogień. Zgaś ją albo ją nasyc, o boska! Daj mi poznać Prawdę najwyższą, Prawdę prawd, duszę wszechrzeczy, a ja w ofierze złożę jej życie i wszelkie jego rozkosze. Zrzeknę się bogactw, oddam młodość, piękność, miłość, szczęście i nawet sławę, którą ludzie poczytują za największe dobro i największe błogosławieństwo bogów.

I znów bił czołem w marmur, a modlitwa płynęła mu tak z głębin duszy, jak dym ofiarny płynie z kadzielnicy. Cała jego istność zmieniła się w siłę błagalną. Zapamiętał się u stóp bogini, zapomniał, gdzie jest, co się z nim dzieje, ogarnął go niby półsen, w którym została mu jedna jedyna świadoma a zarazem nieprzeparta myśl, że na takie zaklęcie odpowiedź nadejść powinna.

Jakoż nadeszła. Gałęzie oliwek i wierzchołki cyprysów zachwiały się nagle i poczęły się pochyłać, jakby zerwał się w tej chwili wiatr nocny, a szum liści i cyprysowych igieł zmienił się w ludzki głos, który zabrzmiał w górze i po całym ogrodzie, jakby wielu ludzi wołało naraz ze wszystkich stron:

– Dioklesie! Dioklesie!...

Chłopiec drgnął, rozbudził się i jał rozglądać się dokoła w mniemaniu, że może towarzysze szukają go po nocy.

– Kto mnie woła? – zapytał.

A wtem marmurowa dłoń oparła się na jego ramieniu.

– To ty wołałeś – rzekła bogini – więc wysłuchałam cię i otom jest przy tobie.

Boska trwoga podniosła włosy na głowie młodzieńca, padł na kolana i począł powtarzać zarazem w przerażeniu i zachwycie:

– Tyś przy mnie? niepojęta, straszna, niewysłowiona!...

Lecz ona kazała mu powstać i rzekła:

– Chcesz poznać Prawdę Najwyższą, jedyną, która jest duszą świata i istotą wszechrzeczy. Wiedz jednak, że nikt z potomków Deukaliona nie widział jej dotychczas bez osłon, które dla oczu ludzkich zakrywają ją i będą zakrywały na zawsze. Drogo ci może przyjdzie okupić zuchwałą twą żądze, ale żeś mnie przez życie własne zaklął, przetom gotowa ci dopomóc, jeśli dla niej wyrzekniesz się bogactw, władzy, miłości i sławy, która jako rzekłeś, jest największym błogosławieństwem bogów.

– Wyrzekam się świata całego i nawet słońca! – zawołał z zapalem Diokles.

Cyprysy i oliwki schylały wciąż wierzchołki przed potężną córą Diosą. Zdawało się, że bogini rozmyśla nad przysięgą młodzieńca.

– Lecz – rzekła po chwili – i ty nie ujrzysz jej od razu. Co rok tylko poniosę cię ku Prawdzie w noc podobną, a ty odwiniesz jedną zasłonę i rzucisz ją za siebie. Mocą zaś moją nieśmiertelną sprawię, że nie umrzesz, póki nie odwiniesz ostatniej. Czy zgadzasz się na to, Dioklesie?

– Niech się spełni i spełnia zawsze twa wola, o Pani mądra! – odpowiedział młodzieniec.

Wówczas bogini, zzuwszy marmurową odzież, zmieniła się w kształt promienny jak światło, po czym, chwyciwszy Dioklesa na ręce, wzbila się w górę i poczęła przecinać chybkiem lotem boski eter, podobna do jednej z tych gwiazd, które w nocie letnie przelatują tak często nad uśpionym Archipelagiem.

Lecieli wartko jak myśl, aż zatrzymali się w nieznannej krainie, na niebotycznej górze, wyższej niż Olimp, Ida, Pelion i Ossa. Tam, na stromym szczycie, ujrzał Diokles coś jakby postać niewieścią, owiniętą tak szczelnie w liczne zasłony, że prawdziwych jej kształtów niepodobna było rozpoznać. Naokół owej postaci drgało jakieś dziwne, tajemnicze światło, odmienne od wszystkich światel ziemskich.

– Oto jest Prawda – rzekła Atena. – Widzisz, jak promienie jej, chociaż przyćmione przez zasłony, przenikają je jednak i świecą. Gdyby nie słaby ich odblask, który pada na ziemię i który chwytają źrenice mędrców, ludzie, jak mieszkańcy krain cymeryjskich, brodziliby w ustawicznym mroku i nocy.

– Przewodniczko niebieska – odpowiedział Diokles – gdy zerwę pierwszą zasłonę, Prawda mi jaśniej zaświeci.

– Zerwij! – rzekła bogini.

Więc Diokles chwycił za tkaninę i ściągnął ją z Prawdy. Żywsze światło zajaśniało mu zaraz w oczach i cały zapatrzony w promienną postać nie zauważył nawet, że zasłona, gdy ją wypuścił z rąk, zmieniła się w białego łabędzia i uleciała w dal mroczną.

I stał długo przed Prawdą – znów jakby w półśnie oderwany od życia, wyniesion w zaświatowe przestwory, próżen ziemskich myśli, z nieznannej istności nieznaną moc czerpiący i uciszony w sobie.

– O jasna! – mówił – o wieczysta! o duszo świata!...

Dotrzymał złożonej przed bóstwem przysięgi. Był bogaty, więc gdy nieraz przechadzał się z rówieśnikami czy to w ogrodzie Akademososa, czy po drodze wiodącej na Akropol, czy wśród lasów oliwnych między miastem a portem, przyjaciele zwracali się ku niemu ze zdziwieniem i wyrzutami.

– Dioklesie! – mówili – ojciec twój nagromadził skarbów bez miary, a ty rządysz nimi dowolnie. Czemu to nie wyprawisz nam uczt wspaniałych, takich, jakie dla młodych Ateńczyków wyprawiał bogom podobny Alcybiades? Dlaczego gardzisz biesiadną rozmową, tańcem, głosem formingi i cytry? Czyś się do cyników zapisał, że nie dbasz nawet o dom własny i komnat nie zdobisz jak taki pan zdobić je powinien? Rozważ, że bogactwo jest darem bogów którego nie wolno odrzucać.

A Diokles odpowiadał im pytaniem:

– Powiedzcie mi, zali Prawdę można kupić nawet za wszystkie skarby króla perskiego?

Więc niektórzy nie szczędzili mu przygan, ale byli i tacy, którzy mniemali, że wyrośnie z niego mędrzec wielki, większy może od wzniosłego Platona.

On zaś trwał w ubóstwie.

Ale za to pewnej jasnej nocy druga zasłona uleciała mu znów łabędziem z rąk w ciemne przestworze i Prawda prawd zajaśniała mu jeszcze silniej przed oczyma.

Był ślicznym młodzieńcem. Pierwsi dostojnicy w Atenach, filozofowie, sofisci i poeci błagali go o przyjaźń, aby przez wpatrywanie się w jego piękność zbliżyć się do piękna przedwiecznych idei.

Ale on odrzucał ich dary, zabiegi i przyjaźń...

Dziewczęta, które zbierały się przy fontannach na Stoa i na Ceramiku, opłatywały go warkoczami i zamykały w kołach tanecznych. Przecudne, do nimf podobne, hetery rzucały mu nieraz pod nogi poświęcone Adonisowi gałązki kopru lub próbowały szeptać mu do ucha przez kielichy rozkwitłych lilij i powojów słowa pieśniowe i słodkie jak muzyka fletów arkadyjskich.

Wszystko na próżno!

– Pójdź – mówiła mu raz najpiękniejsza z dziewczyn ateńskich; prawdziwa wcielona Charyta – oczy moje jak gwiazdy świecące, włosy jak wonne hiacyncy, a łono jak łono Heleny. Pójdź, Dioklesie, albowiem nawet bogowie w niebie nie znają większej rozkoszy nad miłość.

Lecz Diokles uśmiechnął się tylko smutnie i odrzekł:

– I ten ptak, o boska, odleciał już daleko ode mnie.

Jakoż trzeci łabędź rzeczywiście odleciał od niego trzeciej czarownej nocy.

Poczęły płynąć lata jak obłoki, które nad Atenami burzliwy Boreasz pędzi zimą od przepaścistych Gór Trackich ku morzu. Diokles z młodzieńca stał się mężem dojrzałym. Rzadko brał udział w dysputach filozofów, rzadko zabierał głos w sprawach publicznych, jednakże w mieście poczęto podziwiać jego wymowę i mądrość. Niejednokrotnie obywatele ofiarowywali mu wysokie urzędy, a znajomi i przyjaciele namawiali go, aby chwycił ster nawy ojczystej

i wyprowadził ją z odmiałów i wirów na spokojne wody. Ale on widział, jak już w Atenach rozprzega się żywot społeczny, jak wśród nienawiści i walk stronnicy ginie miłość ojczyzny, jak jego przestrogi, niby ziarna skazane na zatrącenie, na płonną i zdziczałą padają rolę, więc tym bardziej odpychał od siebie tę władzę, której się ślubem wyprzysiągł. I raz, gdy tłumy chciały go niemal zmusić, aby stanął na ich czele, rzekł im:

– O Ateńczycy! sami sobie jesteście nieprzyjaciółmi. Jako człowiek, mam dla was łzy, ale gdybym był nawet bogiem, rządzić bym wami nie potrafił.

Wszelako po wybuchu wojny poszedł wespół z innymi bronić ojczyznę grodu i wrócił okryty ranami. Gdy jednak najmężniejszym rozdawano wieńce na Akropolu, nie było go w orszaku wojowników i nie pozwolił wyryć swego imienia na desce miedzianej, którą zawieszono w świątyni.

Wzgardził wreszcie większą jeszcze sławą, którą mógł na igrzyskach uzyskać. Pod starość sklecił z gałęzi wierzbowych chatę koło kamieniołomów Pentelikonu i porzuciwszy miasto usunął się z dala od ludzi. Z wolna zapomniano też o nim w Atenach, a gdy przychodził czasem na rynek, aby kupić chleba i oliwy, znajomi przestali go w końcu poznawać.

I tak żył długo samotny, wyniosły, zamknięty w sobie i w jakimś ogromnym, choć cichym i łagodnym, smutku pogrążony.

Upłynęło jeszcze kilka olimpiad. Włosy zbieleły na głowie Dioklesa, postać pochylała się ku ziemi, oczy zapadły w głąb czaszki i starość wyssała mu siły. Krzepił się tylko myślą, że jeśli wkrótce przyjdzie mu porzucić podśloneczną krainę, to przedtem jeszcze zobaczy Prawdę najwyższą, przedwieczną Macierz wszystkich prawd w świecie.

A czasem myślał także, że jeśli Parka nie przetnie zaraz potem nici jego życia, to może wróci do miasta, do ludzi i przyniesie im więcej, niż przyniósł ongi Prometeusz.

Aż na koniec nadeszła wielka mistyczna noc, w której bogini chwyciła go znów w ramiona i zaniósłszy na niebotyczną górę postawiła go przed Prawdą.

– Patrz – jak ona pała już i świeci. Ale nim wyciągniesz ku niej dłonie po raz ostatni, wysłuchaj pierwej słów moich. Owe zasłony, które w ciągu długich lat odlatywały od ciebie jako łabędzie, to były złudzenia twojego żywota. Jeśli ci żal ostatniego lub jeśli obawa napęła ci serce, to cofnij się, póki czas jeszcze, a ja cię zniosę z tych wyżyn, abyś jak inni ludzie domierzył w padole dni swoich.

– Życiem poświęcił dla tej jednej chwili – zawołał Diokles.

Po czym zbliżył się z biciem serca ku pałającemu posagowi, mrużąc powieki chwycił drżącymi rękoma ostatnią zasłonę, zerwał ją i rzucił za siebie.

Lecz nagle stało się coś strasznego.

W tej samej chwili w oczy jego uderzył jakby grom – i ogarnęła go ciemność tak okropna, że najczarniejsza noc Hadesu wydać się mogła przy niej dniem białym.

A wśród takiej nocy rozległ się pełen niewysłowionej trwogi i bezbrzeżnego bólu głos Dioklesa:

– Ateno! Ateno! nic nie ma pod zasłoną i nic nie widzę!!!

Lecz na ów krzyk rozpacz odpowiedziły mu surowe słowa bogini:

– Oślepy od blasku Prawdy twoje źrenice i uleciało ostatnie złudzenie, że śmiertelnik może ją ujrzeć bez osłon.

Zapadło milczenie.

– Zwodzisz zawsze tych, którzy ci ufają – jęknął Diokles – więc zwiodłaś i mnie, bóstwo okrutne i kłamliwe. Ale skoro nie ujrę już nigdy Prawdy Najwyższej, to ześlij mi choć śmierć – wybawicielkę.

I taki żal nadludzki drgał w jego słowach, że wzruszył nawet Atenę. Więc, położywszy mu dłoń na nieszczęsnej głowie, rzekła łagodnie:

– Oto ci ją zsyłam, Dioklesie, a z nią i tę ostatnią pociechę, że gdy cię ona ukoi, wówczas ujrzysz tę jasność, od której za życia oślepy twoje oczy.

Noc bladła i mdlała, ale świt wstawał szary, zimny, smutny. Z chmur nagromadzonych na niebie poczęły padać obficie gęste białe płatki śniegu i zasypywać śmiertelne szczątki Dioklesa.

PRZYGODA ARYSTOKLESA

Akryziona, żona Ktezipa, golibrody z Eginy, była to rządna gospodyni, ale niewiasta nieco swarliwa, trzymająca krótko niewolników i męża. Toteż ujrawszy go pewnego razu wracającego dość nierównym krokiem z portu w towarzystwie nieznanego człowieka, wypadła natychmiast przed dom i wzięwszy się pod boki poczęła wypytywać:

– Cóż to za dragała za sobą prowadzisz? Założę się o dwie drachmy, że znów kupiłeś niewolnika.

– Krysiu, tylko uspokój się! – odrzekł pokorny Ktezip. – Wiesz, że do obsługi gości potrzeba mi trzech ludzi, a Kalias zestarzał się okropnie. Wczoraj dziobnął nożyczkami Archytasa za lewym uchem, wskutek czego Archytas nie chciał za strzyżenie zapłacić. Tak nie można... Musiałem kupić kogoś do pomocy, więc kupiłem i... tanio kupiłem...

– A dla dobicia targu spiłeś się z tym, który cię oszukał?...

– Mam trochę czkawki, ale nikt mnie nie oszukał. Sprzedał mi go jakiś bardzo porządny Spartanin... Pollis... tak! Pollis! Nie byle kto, bo powiedział, że wraca z Syrakuz, gdzie był posłem do tyrana Dionizjusza, który mu właśnie tego człowieka darował.

– To głupi był, że go i darmo wziął, a tyś jeszcze głupszy, żeś za niego zapłacił. Dość spojrzeć, żeby poznać, że to jakiś niedołęga.

– Bo miał morską chorobę, ale spójrz jeno na jego twarz i barki. Pacholek jak dąb, niech się tylko trochę odżywi...

– Tak, odżywi! Czterech będzie teraz, dzięki twojej mądrości, darmozjadów, którzy w tydzień więcej pożrą i wypiją, niż w miesiąc zarobią.

Tu, zmierzwszy gniewnym wzrokiem niewolnika, spytała nagle:

– Czego patrzysz na mnie jak kozioł w wodę?

A niewolnik skłonił się i odpowiedział:

– Ja się wykupię, pani... Pochodzę z dobrej rodziny i mam możnych przyjaciół.

– Na Atenę Ergane! – zawołała Akryziona. – Znamy się na tych dobrych rodzinach i tych wszystkich przyjaciółach. Każdy nowo kupiony tak mówi, żeby go napychać jadłem po gardło i nie zapędzać do roboty. Coś za jeden?

– Jestem Ateńczyk, pani, syn Aristona z Kolutu. Imię moje jest Arystokles, a przezwisko, które może obilo się o twe uszy... Platon.

– Platon? Pierwsze słyszę! A umiesz strzyc i golić?

– Nie, pani.

Na to Akryziona zwróciła się znów do męża:

– Z góry wiedziałam, że będzie do niczego...

Z DAWNYCH DZIEJÓW

Messeńczycy, wedle zdania Greków, bitniejsi byli nawet od Spartan. Ale po drugiej wojnie messyńskiej ulegli ostatecznie ich liczebnej przewadze. Na nic nie przydało się bohaterstwo Arystomenesa, na nic zwycięstwa odnoszone przed przybyciem Tyrteusza do Lakonii, na nic morze przelanej krwi. Zwycięzonym zagroziła niewola, ziemi zabór. Lecz dola spartańskich helotów była zbyt straszna, by się mógł zgodzić na nią wolny i dzielny naród; więc mieszkańcy Messeny, Menote, Pylos i innych miast nieszczęsnej krainy, zabrawszy żony i dzieci, siedli na statki i nie oparli się aż na Sycylii, w mieście Zankle, które jeszcze przedtem zajął ich rodak, Anaksylos. Była to drobna dotychczas kolonia, ale położona wybornie nad zatoczonym w półksiężyc wybrzeżem, które tworzyło głęboką i zaciszną morską ostoję. Jednakże pierwsze pokolenie wychodźców dużo zaznało biedy. Miasto było zbyt ciasne, a okolica nie mogła mieszkańców wyżywić. Brakło im dachu nad głową, brakło chleba, brakło oliwy. Niektórym tęsknota za utraconą ojczyzną wysłała siły i życie. Natomiast znacznie lżej było już ich dzieciom, a wnukom wiodło się wcale niezgorzej. Zankle przybrało z czasem zupełnie odmienną postać. Ludność wzrosła dziesięciokrotnie; miasto rozbudowało się szeroko wzdłuż wybrzeża. Wyrastały rokrocznie coraz okazalsze domy, a nim upłynęło lat pięćdziesiąt, wspaniałe gmachy otaczające agora poczęły budzić podziw przybyszów z Syrakuz, z Panormu i z Agrygentu, którzy w sprawach kupieckich lub przez ciekawość odwiedzali nową osadę. Ocembrowano wybrzeże i pogłębiono zatokę. Okręty greckie i z greckich osad azjatyckich, okręty z Tyru, z Sydonu i Kartaginy poczęły zapełniać bezpieczną przystań. Las masztów przesłaniał mieszkańcom błękitną roztocz morską. Zakwitnął handel i przemysł. Zankle przezwano Messyną. Bitna ludność odparła kilkakrotnie napady syrakuziańskich tyranów i chciwych a okrutnych Kartagińczyków. Dla osłony miasta zbudowano na cyplu twierdzę, która broniła zarazem wejścia do przystani. Przyszło bogactwo, przyszedł spokój i życie powszechne poczęło bić równym a potężnym tętnem.

Zaś z biegiem lat zakwitły i nauki. Lekarze messyńscy zasłynęli w całej Sycylii i osiadali częstokroć w obcych nawet miastach, w których ludność witała ich z radością i tłumnie szukała ich porady. Do syrakuziańskich kamieniołomów wzywano inżynierów i górników z Messyny, opłacając na wagę złota ich trudy. Budowniczych wyrywały sobie liczne grody w osadach greckich, leżących na południu Italii. Rolnictwo rozkwitło tak, że oliwy i pszenicy messyńskiej poszukiwano na wszystkich targach Wielkiej Grecji. Statki kupców messyńskich krążyły od Słupów Herkulesa aż do Archipelagu i azjatyckich wybrzeży. Bogactwo rosło z każdym rokiem.

A za bogactwem przyszła i moc. Kilka tysięcy peltastów i hoplitów strzegło miasta i kraju, sto galer – przystani. Sparta, która niegdyś skrzywdziła bez miary ten lud, zaniepokoiła się jego potęgą i wysłała tajnych posłów do Sy-cylii, aby naocznie przekonali się, czy flota i falangi messyńskie mogą być groźne dla Lakonii.

Lecz gdy posłowie wrócili, gdy zdawali sprawę z wielkości miasta, z jego bogactw, z zysków, które tam z zewsząd napływają, z dostatku i wygod, w jakich żyją mieszkańcy, uspokoili się starce z geruzji i zrzuciwszy troskę z serca, mówili do siebie wzajem:

– Zaiste, zbyt im tam dobrze, aby nie mieli zapomnieć o dawnej ojczyźnie

Ale mylili się starce z geruzji, wspomnienia bowiem dawnej ojczyzny ani na chwilę nie zatarły się w duszach Messeńczyków. Nie zasypało tych wspomnień złoto, nie zniweczyły zyski kupców ni zarobki lekarzy, inżynierów i budowniczych. Pokolenie przekazywało pokoleniu miłość i tęsknotę. By zaś myśl nie odwracała się ani na chwilę od krainy, w której leżały prochy ojców – i aby miłość dla niej była tak trwała jak brąz i kamień, weszło wygnańcom w zwyczaj ryc na architravach świątyń, na przyczółkach gmachów publicznych, na utwierdzeniach i wieżach następujące słowa:

„Pamiętajcie o starej ziemi!”

I pamiętali. – Pamiętali nawet wówczas, gdy w zmiennej losów kolei przyszły nieszczęścia, gdy Ateńczycy opanowali na krótko osadę i gdy Himilkon-Kartagińczyk zburzył gród prawie do szczętu. Ludziom wydawało się, że nie ma już Messyny, ale zapomnieli, że są Messeńczycy, którzy błądząc wśród zgliszcz i gruzów czytali na złomach świątyń i zwaliskach gmachów słowa, które najgłębiej wyryte były w ich sercach:

„Pamiętajcie o starej ziemi!”

Więc pamięć przetrwała niedolę. Lata poczęły płynąć, Odbudowało się z sąsiedzka pomocą miasto. Przystań zaroiła się znów od masztów. Rozbłysły w powietrznych błękitach i w słońcu marmury nowo wzniesionych świątyń i pałaców. Wracala z wolna dawna pomyślność.

Ale oto pewnego dnia „wieścionośna Ossa” przyleciała przez morze z Hel-lady i jeła głosić w Messynie, że Teby porwały się do śmiertelnego boju z tą Spartą, która niegdyś podbiła Messenię, a której stopa zaciażyła kamieniem po wojnie poloponeskiej na piersiach wszystkich Greków. Imiona Epami-nondasa i Pelopidasa rozegrzmiały od północnych granic Tesalii i Epiru do skalistych krańców Peloponezu i od wybrzeży Azji aż do Słupów Herkulesa. Za Tebami powstały inne miasta helleńskie. Grecja rozerwała pęta.

I wieść biegła za wieścią, a każda do gromu podobna. Leuktry!... Manty-neal!... Niezwyciężona dotychczas Sparta pobita, wojska jej rozproszone, siła na zawsze złamana, wyludniona Lakonia, opuszczone przyległe, niegdyś za-garnięte krainy!...

W Messynie rozgorzały serca i głowy. Tłumy ludu rozkołysały się jak fale morskie i jak fale zalewały agora i wybrzeża, wyglądając gońców z Peloponezu. Na rynkach i ulicach, przed świątyniami i areopagiem, w przystani i w ogrodach miejskich rozebrzmiały pieśni na cześć Arystomenesa, na cześć dawnych bojów i dawnej ojczyzny.

Aż wreszcie przybyli gońce z najnowszą wieścią, iż Spartanie, broniąc ostatkiem sił Lakonii, opuścili starą Messenię i że cała kraina zmieniła się w na wpół bezludną pustynię.

Wówczas lud zebrał się na wielki wiec, archontowie zaś zwołali radę, złożoną ze starców i znakomitych obywateli.

A w miesiąc później mniejsze i większe statki pokryły tysiącami morze i zwróciwszy dzioby ku wschodowi wyciągnęły się w jeden nieskończony łańcuch na cichych rozplywach Jońskiego Morza. Na statkach widać było prawie całą ludność Messyny. Mieszkańcy kwitnącej osady porzucili domy, porzucili sklepy, zyskowne prace, wielkie zarobki i wracali do opuszczonej przed wiekami ojczyzny, do Messenii, do Pylos, do Menote, do dawnych siedzib, do wiosek ukrytych w górskich dolinach, do pastwisk na połoninach Tajgetu, do dawnych cmentarzy, do prochów ojców.

Wracali do krainy mniej żyznej, na jałowe pola, na nowe trudy w niedostatku i ubóstwie, ale wracali tam, skąd nigdy nie oddalały się ich serca. Toteż gdy po długiej żegludze wylądowali wreszcie w przystaniach peloponeskich, padali na twarze i obejmując ramionami starą ziemię wołali ze łzami jak dzieci, które po długiej rozłące obejmują matkę kochaną:

– Ziemi-Rodzicielko, nie zapomnieliśmy o Tobie!

Tak to przed wiekami kochali Messeńczycy swoją pierwotną ojczyznę.

CO SIĘ RAZ STAŁO W SYDONIE

Abdolonim padł na twarz przed Marhabalem, bogatym kupcem z Sydonu, i leżał jak długi dopóty, dopóki Marhabal nie zapytał, co by to miało znaczyć. Wówczas powstał i mówił, jak następuje:

– Panie! za cały majątek mam tylko mały ogródek, w którym uprawiam rzodkiew, cebulę i różę. Ale jestem młody, pracowity i uczciwy. Wiem, że to, co powiem, może ci się wydać szaleństwem lub co najmniej zuchwalstwem. Ponieważ jednak nazywają cię w Sydonie „Roztropnym”, ufam, że nie uniesiesz się gniewem. Oto pokochałem twoją córkę, cudną Thalestris, jestem przez nią wzajemnie kochany – błagam cię, panie, abys mi ją oddał za żonę.

Marhabal chciał w pierwszej chwili ogrzmocić Abdolonima laską z kości słoniowej, którą trzymał w ręku, albo zawołać niewolników, aby go zrzucili ze schodów; ale powstrzymał się, albowiem istotnie nie zwykł nic czynić bez namysłu. W Sydonie nazywano go nie tylko „Roztropnym”, ale i „Dokładnym”, gdyż lubił rozprawiać, lubił wypowiadać swoje myśli obszernie i dowodzić wszystkiego w sposób niezbity i wykazujący jak na dłoni: o ile zdrowy i stateczny rozum kupiecki przewyższa wszelkie inne myślenie. Z tego powodu umilkł na czas tak długi, jaki jest potrzebny do przesypania się piasku w klepsydrze, a potem tak zaczął z wolna mówić:

– Abdolonimie! Z córką moją, jeśli istotnie zapach twoich róż odurzył ją aż do zupełnej utraty rozumu, pogadam osobno i mam nadzieję wybić jej z głowy nieprzyzwoite myśli. Co się tyczy ciebie, mój sposób widzenia jest następujący. Ceniłem cię zawsze za twoje ogrodowizny. Rzodkiew, którą mi sprzedajesz, nigdy nie jest sparciiała, a twoja cebula nie tylko dobrze smakuje, ale i odbija się tak przyjemnie, że nieraz kupcy na Byrsie pytają mnie, u kogo ją nabywam. To znaczy, że to, co robisz, robisz dobrze. Z tego powodu nie wybuchnąłem gniewem, gdyż zresztą nie widziałem nigdy, aby gniew przyniósł coś komuś w zysku! Ale zastanów się nad twoim niebacznym żądaniem! Wiesz, że ja, Marhabal, należę do starszyny sydońskiej; pięć moich okrętów krąży po morzu między Fenicją a wyspami i Grecją; dwa odwiedza brzegi Sycylii i Kartaginy. Mam stu trzydziestu niewolników, ten oto pałac w Sydonie, dom w Tyrze i dwa wielkie składy towarów, nie licząc fabryki szkła i farbiarni. Taki jest mój majątek, który z czasem przejdzie na moją córkę, ponieważ jest ona jedynym moim prawym dziecięciem. A teraz pytam się ciebie: z czym ty przystępujesz do interesu? co masz? ile ci przynoszą twoje warzywa i jak wielki jest naprawdę ten ogród, który uprawiasz?

– Ogród mój – odpowiedział Abdolonim – niewiele większy jest, o Marhabalu, od tej komnaty, w której przed tobą stoję! Ale prócz tego posiadam osła i serce pełne miłości.

– Średni osiel wart jest pięćdziesiąt drachm fenickich, to jest trzy razy mniej niż laska, którą trzymam w ręku i którą chciałem cię w pierwszej chwili obić, czego jednak nie uczyniłem, zarówno przez wrodzone mi umiarkowanie, jak i dlatego, żeby jej nie połamać. Co do miłości – miłość jest to ogień. Kto ma mąkę i patelnię, może przy nim upiec podpłomyki. Ale powiedz mi, Abdolonimie: gdzie jest twoja mąka i patelnia?

Abdolonim spuścił głowę i milczał.

A Marhabal, widząc w jego milczeniu triumf swego rozumowania, uśmiechnął się z zadowoleniem i mówił:

– Córka moja posiada dostatek szat i klejnotów, lecz posiada to wszystko dlatego, że ojciec jej miał głowę na karku i umiał dawać sobie rady w życiu. Gdybyś ty jednak spotkał Thalestris naga, na jednej z takich skał bezludnych, jakich wiele jest na naszym wybrzeżu, cóż byś w takim razie uczynił?

Abdolonim zaczerwienił się po uszy.

– O Marhabalu, jakże mam na to odpowiedzieć?...

– Ja nie o tym mówię – przerwał opryskliwie kupiec. – Chcę tylko ci dowieść, że gdybyś ją spotkał naga, wówczas cała twoja miłość nie miałaby za co kupić jej nie tylko naszyjnika i obrączek na nogi, ale nawet fartuszka na biodra. Przecie w twojej własnej opanczy są dziury, przez które przeglądają twoje kolana, powalane ziemią i zielenią przy pieleniu warzywa: Szczęściem, moja córka nie mieszka na pustej skale i nie jest tak goła jak greckie boginie. Ale wypadki chodzą po ludziach. Żebyś mnie lepiej zrozumiał, dam ci taki przykład. Oto miasto nasze i kraj zajęli Macedończycy, których monarcha, Aleksander, przewrócił do góry nogami państwo perskie i cały świat. Króla naszego, Stratona, przepędził na cztery wiatry jeden z jego wodzów, Hefestion, i podobno ma nam dać innego władcę... Zagrabił on już majątki kilku kupców, którzy przed przybyciem Macedończyków przemawiali za oporem. Spodziewam się wprawdzie, że mego mi nie skonfiskuje. Jestem człowiek trzeźwy i umiem liczyć się z rzeczywistością. Fenicja jest dziś słowem bez treści. Niech się Tyr broni, jeśli ma do tego ochotę – Sydon ma własne interesy i o nich powinien myśleć. Wypowiedziałem taki pogląd na Byrsie i postaram się, aby słowa moje doszły do Hefestiona. Ale przypuśćmy, że stało się inaczej i że wskutek nieporozumienia lub fałszywej skargi majątek mój został skonfiskowany. Co w takim razie pomogłaby nam twoja miłość? Czy starczyłaby nam za dach nad głową i czy potrafiłaby nas nakarmić? Co ty mógłbyś wnieść do spółki prócz rzodkwi i miłości? Mówisz, żeś młody? – dobrze! Ale czy to ty jeden masz w Sydonie skład z tym towarem? Mówisz, żeś pracowity? – także dobrze. Ale i każdy niewolnik, chce czy nie chce, musi być pracowity. Coś ty lepszego niż niewolnik? Żeś uczciwy? O wa! Dwa dni temu odniosłeś drachmę, którą ci za warzywo nadpłacił mój podstarość, boś myślał, że mnie tym ujmiesz. Ale dajmy na to, żeś uczciwy – to i co? Dlaczego ja miałbym cenić więcej uczciwą nędzę od uczciwego bogactwa? Człowiek uczciwy a przy tym bogaty pachnie nardem, albowiem ma na to, by się nim co dzień namaścić, twoją zaś uczciwość czuć nawozem, który do śmierci będziesz przewracał, gdyż nic innego nie potrafisz.

– Umieć grać na cytrze! – zawołał nieszczęśliwy Abdolonim.

– Lepiej dla ciebie byłoby o tym nie mówić – odpowiedział Marhabal. – To się podobać może mojej córce, nie mnie. Wiem, że u Greków kto nie gra na cytrze, ten uchodzi za prostaka i barbarzyńcę. Są tam ludzie, którzy nic innego nie czynią, a jednak otacza ich sława i – choć trudno temu uwierzyć – otacza ich szacunek większy niż cieślów, którzy budują okręty, a nawet – niż kupców. Ale Grecy to naród dzieci, nasz zaś Sydon – to miasto poważne i zamieszkałe przez ludzi rozsądnych. Co do mnie, uważam, że człowiek młody, zdrowy i silny, który, zamiast pracować, gra na jakimś instrumencie lub pisze wiersze – bo i tacy bywają u Greków – zasługuje na równą pogardę jak wróbel, który ćwierka na dachu bez żadnego dla nikogo pożytku. Toteż gdybyś był tylko muzykiem lub poetą, byłbym cię kazał od razu zrzucić ze schodów, rozsądnymi bowiem słowami nie przemawia się do półgłówków.

– Więc nie mogę mieć żadnej nadziei! – zawołał Abdolonim.

– Nadzieję, jeśli ci się tak podoba, możesz mieć, ale nie możesz mieć i nie będziesz miał mojej córki. Sam powiedziałeś, że twoja prośba jest szalona, a ja dowiodłem ci, jak dwa a dwa cztery, że jest prócz tego niedorzeczna, a nawet głupia, a zatem czegoż tu jeszcze czekasz?

– Marhabalu – rzekł Abdolonim – nie chciałem mówić ci o tym, co nie jest moją zasługą, ale może słyszałeś, że chociaż tak prawie ubogi jak niewolnik, pochodzę jednak z rodu dawnych królów sydońskich i że w całej Fenicji nie masz człowieka, w którym by płynęła szlachetniejsza krew od mojej.

Na to Marhabal zastanowił się znów przez chwilę, po czym rzekł ze zwykłą rozwagą:

– Słyszałem i jakkolwiek nie uważam tego za rzecz zupełnie pewną, przyznaję, że to jest coś. To tłumaczy poniekąd twoją zuchwałość i zarazem jest drugim powodem, dla którego nie kazałem cię zrzucić ze schodów. Jest zaiste w Sydonie wielu kupców, których by olśniło twoje królewskie pochodzenie. Ale ja, chociaż sam nie należę do gminu i szanuję tradycję (przyzwoici ludzie powinni ją zawsze szanować) w interesach jestem, jak ci to już nadmieniałem, przede wszystkim realista. Powiem ci więc, że gdybyś ty pochodził z rodu ogrodników, a stał się królem, oddałbym ci bez wahania moją córkę, albowiem, po pierwsze, mógłbyś mnie zrobić dostawcą dworu, o co starałem się na próżno jeszcze za króla Stratona, a po wtóre, musiałbym przyznać, że ktoś, kto potrafi zmienić motykę na berło, ma głowę do interesów lepszą nawet od mojej. Ale jeśli ty, pochodząc z rodu królów, klepiesz taką samą biedę jak twój ojciec i jesteś tylko ogrodnikiem, to co ja mam o tym pomyśleć? Oto, że wśród przodków twoich były całe pokolenia niedołęgów i że ty jesteś także niedołęgą, skoro się losem swoim zadowolniasz. Z tych wszystkich przyczyn powtarzam ci jeszcze raz, że nie dam ci córki – i nadto zapowiadam, abyś nie pokazywał się więcej w domu moim, chyba że przez wdzięczność za naukę, jaką ci dałem, opuścisz mi przynajmniej dziesięć procent na rzodkwi i cebuli.

Usłyszawszy to Abdolonim rozdarł swoją i tak już podartą opończę i byłby niezawodnie, posypał swą głowę kurzem i popiołem, gdyby nie to, że w domu porządnego kupca sydońskiego nie było na podłodze ani kurzu, ani popiołu.

Lecz gdy w Sydonie księżyc zaszedł, a psy się uśpiły, różana Thalestris stanęła nagle w przebraniu młodego eunucha przed Abdolonimem, który płakał w swoim ogródku, grając na cytrze – i załamawszy ręce zawołała:

– O Abdolonimie! wszystko przepadło, cała nadzieja za nic!

– Za nic! – jęknął młodzian.

I wydobywszy odpowiednio żaloszny dźwięk ze strun cytry, odstawił ją na bok, a natychmiast chwycił w objęcia dziewczynę i począł całować jej umalowane henną powieki.

A gdy słodycz pieśnyczoty ukoła nieco ich zbolące serca, zapytał:

– Czy mówiłaś z ojcem, Thalestris, i czy gniew jego nie spadł na twoją lubą głowę?

– Ojciec nie gniewał się – odpowiedziała – ale położył mnie na kolanie i osmagał do krwi łodygami róż twoich, abym poznała, że w darach twoich mieści się nie radość dla mnie, lecz boleść!...

– Bogowie! – zawołał z rozpaczą, a zarazem i z zapalem Abdolonim – pozwól mi ucałować twe rany!

Lecz dziewczica spuściła oczy.

– Nie, Abdolonimie – na to nie mogę pozwolić...

Nastala chwila milczenia, tylko słowiki sydońskie, ukryte w cyprysach, posypywały jakby gradem pereł ogród i oboje kochanków.

– Abdolonimie... – szepnęła dziewczica.

– Słucham cię, lilio Libanu.

– Oto przekupiłam stróżów i wykradłam się z domu, aby ci powiedzieć, że bez ciebie śmierć miłszą mi będzie od życia.

– A więc umrzyjmy razem, Thalestris!

– Otrujmy się, Abdolonimie!

– Mam w piwnicy placki przygotowane z cykuty i miodu na szczury, które niszczyły owoce pracy mojej. Spożyjmy je i zstąpimy razem w krainę cieniów!

– Niech się tak stanie – odrzekła Thalestris.

Więc Abdolonim wstał, aby pójść po zabójcze placki, lecz dziewczica położyła mu rękę na ramieniu.

– Zorze wieczorne zgasły niedawno – rzekła – do świtu daleko, a noc tak wonna i cudna. Wkrótce wieczysta ciemność pokryje oczy nasze, więc jeszcze popatrzmy na te światła niebieskie, które nad nami migocą.

I złożyła mu głowę na ramieniu, po czym zwróciwszy źrenice na księżyc poczęła do niego przemawiać głosem cichym i smutnym:

– Tanit, Tanit, o ty blada i czysta bogini, która płyniesz teraz jak łódź srebrna nad sennym Sydonem, czemuż to świecisz nam po raz ostatni?

A Abdolonim:

– Ty, która co miesiąc umierasz i zmartwychwstajesz, uśpij nas, a potem zbudź do nowego życia.

– Albo obejmij nas srebrną siecią twoich promieni i pociągnij nas ku sobie...

– Albo zmień naszą miłość w twój blask własny, aby nie zmarła razem z nami, bo nie życia nam żal, lecz miłości...

– O, Tanit!

– O, Tanit!

Nastala znów cisza, tylko cyprysy trzęsły się od pieśni słowicznych. Thalestris siedziała przez jakiś czas bez ruchu z przechyloną w tył głową i otwartymi ustami, rzekłbyś, podając je księżycowi, lecz nagle drgnęła i rozbudziła się jakby ze snu.

– Gdzie ja jestem? – spytała.

– Przy sercu moim – odpowiedział młodzieniec.

– Wszakże my mamy umrzeć, Abdolonimie?

– Tak jest, o piękna moja!

– Kochaszże ty mnie?

Abdolonim przyciągnął ją ku sobie, wpił się ustami w jej usta i pozostali tak, póki im nie zabrakło oddechu.

Po czym zaszemrał znów głos Thalestris, podobny do szmeru strumyku:

– Abdolonimie, wszak śmierć wszystko rozwiązuje i od wszystkiego wyzwala?

– Wyzwala... – potwierdził młodzian.

A ona mówiła dalej:

– Więc jeśli śmierć wszystko rozwiązuje i od wszystkiego wyzwala, to... to co? Abdolonimie?...

– Co chcesz powiedzieć, luba moja?

Thalestris przysłoniła oczy dłonią tak białą jak kwiat jaśminu.

– Ach! nie myśl tylko nic złego!...

Wówczas on spojrział na nią i choć niebawem mieli umrzeć; widocznie jednak zatroskał się o jej zdrowie, gdyż rzekł:

– Rosa pada...

– Rosa pada – powtórzyła jak echo Thalestris.

– I chłód nocy dojmować już poczyna. Czy widzisz ten szałas, ukochana, który osłaniają jak płaszczem bluszcze i wiciokrzewy? Pójdź, piękna moja! Pójdź, przyjaciółko moja! Tam dreszcz nie przejmie twego lubego ciała i umierać nam będzie zaciszniej.

Więc ona, posłuszna słowom kochanka, wstała i wsparta na jego ramieniu poczęła iść ku szałasowi, powtarzając jakimś dziwnym, sennym, na wpół do śpiewu podobnym głosem:

– Ro-sa pa-da, ro-sa pa-da...

I znikli pod płaszczem bluszczów. Słowiki umilkły. Natomiast wierny osiołek, którym Abdolonim rozwoził warzywo po Sydonic jał nie wiadomo dlaczego odzywać się wśród nocy swym przeraźliwym, do śmiechu podobnym rykiem:

– Hi-hau, hi-hau, hi-hau!

Księżyc, który jakoś nie zauważył, gdzie się podzieli, szukał ich długo w ogródku. Pełzał po ścieżkach, schodził ze ścieżek, rozświecał grzędy kwiatów, zaglądał w bruzdy między zagonami rzodkwi i cebuli, osrebrał ściany szałasów i chciał nawet zajrzeć do wnętrza, ale nie mogąc przebić się przez gęstwą bluszczów i wiciokrzewu, znudził się wreszcie próżnym poszukiwaniem i popłynął w stronę Tyru, ku morzu.

A oni, wśród wiązek wonnego szafranu, przygotowywali się na wspólną śmierć – i przygotowywali się dopóty, dopóki nie rozbudziły ich gromkie okrzyki, które rozległy się nagle przed bramą ogródka.

Wówczas wypadli z szałasów i trwoga, a zarazem i zdziwienie ogarnęły ich na widok, jaki przedstawił się ich oczom.

Oto czerwony blask pochodni rozjaskrawił, ulicę, kraty ogródka, palmy, cyprysy, a przed bramą roił się i kołysał tłum ludzi.

– To ojciec przysłał mnie szukać! – krzyknęła w przerażeniu Thalestris.

– Schroń się do szałasów! – zawołał Abdolonim.

I porwawszy łopate, jaka znalazła mu się pod ręką, stanął gotów do obrony dziewicy.

Tymczasem część tłumu napelniła ogródek, ale zatrzymała się w pewnej odległości jakby przejęta strachem na widok groźnej postawy młodzieńca – i tylko dziesięciu ludzi, przybranych w mitry i uroczyście fenickie szlafroki; wysunęło się naprzód. Zdumiony Abdolonim poznał w nich dziesięciu najprzedniejszych sydońskich młodzieńców.

A oni, zbliżywszy się ku niemu, padli na twarz i przez chwilę leżeli bez ruchu, po czym podnieśli się i jeden z nich, trzymając na ręku płaszcz purpurowy, tak zaczął mówić:

– Witaj, Abdolonimie Pierwszy, potomku krwi królewskiej, władco Sydonu i Libanu, a nas wszystkich panie i królu!

Tu znów przyklękli, a za ich przykładem tłum stojący opodal rzucił się także na kolana powtarzając:

– Witaj, witaj, Abdolonimie Pierwszy!

Abdolonim patrzył czas jakiś osłupiałymi oczyma to na ich twarze, to na ich mitry, to na płonące pochodnie, aż wreszcie opamiętawszy się nieco, pomyślał, że to zapewne panicze sydońscy, podpiwszy na jakiejś uczcie, postanowili sobie wyprawić igraszkę z biedaka, więc zapytał z goryczą i gniewem:

– Czego szukacie i czego chcecie, o dostojni, w moim ogrodzie?

– Panie – odpowiedział ten, który przemawiał poprzednio – Aleksander, monarcha świata, kazał Hefestionowi po wypędzeniu Stratona mianować nowego króla w Sydonie. A ponieważ na mocy odwiecznych praw sydońskich ten tylko może nad nami panować, w czyich żyłach płynie krew dawnych władców, przeto będąc w obozie u Hefestiona wskazaliśmy na ciebie, albowiem zarówno ród twój, jak twoja skromność i twe wielkie cnoty czynią cię godnym sydońskiego berła i tronu.

Lecz Abdolonim, nie wierząc jeszcze słowom mówcy, odpowiedział:

– Ród mój istotnie jest królewski, przeto źle i niebacznie czynicie, jeśliście przyszli uragać biedakowi, który, wiedząc o tym, ma śmierć w sercu a łopate w ręku.

Na to posłannik wyciągnął ku niemu płaszcz purpurowy i rzekł z wielką powagą:

– Abdolonimie, zbudź w swej duszy godne króla uczucia; porzuć zwątpienie i porzuć swą brudną oponę! Obmyj, panie, ręce i oblicze z prochu ziemi – i wdziej ten płaszcz, który ci w imieniu Aleksandra i całego narodu sydońskiego przynoszę. A gdy zasiądziesz na stolcu sydońskim jako pan życia i śmierci wszystkich obywateli, wspomnij – wówczas niekiedy na stan swój poprzedni, nie daj opętać się dumie i zachowaj te wszystkie cnoty, które cię dzisiaj na tron wyniosły. Żyj nam i panuj, o źródło Baala – i niech jutrzejsze słońce już nie w tym ubogim ogrójcu, ale w twoim królewskim zamku ci zaświeci!

– Żyj nam, żrenico Baala! – poczęły wołać głosy z tłumu.

– Wyniosły cedrze libański!

– Koziorożcu wspaniałomyślny!

– Baranie, przewodniku stada!

– Żyj i włada!

– Rządź, karz i wynagradzaj!

Abdolonim musiał uwierzyć.

Nie udał się jednak zaraz na zamek, oświadczył bowiem, że przedtem pragnie pomodlić się do bogów domowych, których opieka okazała się tak przeżyteczną, i rozmówić się w ciszy i samotności z własnym sumieniem. Ale gdy ulica i ścieżki ogródka opustoszały, odłożył na czas dalszy rozmowę z bogami i sumieniem, a natomiast, objawszy usta dłońmi, zawołał po dwakroć przyciszonym głosem:

– Thalestris! Thalestris!

Dziewica wybiegła z szałasu.

– Jestem, panie!

– Słyszałaś?

– Słyszałam i... padam na twarz przed królem moim.

Ale on zatrzymał ją i rzekł:

– O Thalestris! Niepotrzebne nam już placki z cykuta.

– Tobie, panie – odpowiedziała – nie wolno umierać, albowiem losy Sydonu złożone są w twoich rękach, jeśli jednak i mnie umrzeć nie pozwolisz, cóż się teraz stanie ze mną, nieszczęsną?

A Abdolonim przygarnął ją i począł mówić z wielką słodyczą lecz już i z powagą królewską:

– Słuchaj, Thalestris. Rozum kupiecki twego ojca okazał się ślepy i głupi, ale twoja miłość była mądra i widziała przez zasłonę przeznaczenia. Wszelako zanim powtórzysz ojcu swemu te moje słowa i zanim mu powiesz, że mu król Sydonu przebacza, wiedz o tym, że jesteś królową króla.

Usłyszawszy to dziewczyna przechyliła się, jak kwiat podcięty, na rękach kochanka, albowiem czułe jej serce nie mogąc znieść nadmiaru szczęścia, na chwilę całkiem bić przestało.

Więc Abdolonim wniósł ją znowu do szałasów, ażeby dołożyć tam wszelkich tkliwych starań, które mogły jej wrócić przytomność.

Marhabal, który jako człowiek roztropny i dbały o zdrowie chodził spać wcześniej, nic nie wiedział, co się stało podczas nocy w Sydonie. Ale gdy wieścionośna Ossa, obiegając od świtu całe miasto, zapukała z nowiną i do jego pałacu, zmartwił tak ze zdumienia i trwogi, że siadł na ziemi, objął dłońmi wielkie palce swych nóg i pozostał w tej postawie tyle czasu, ile potrzeba do przerachowania pięciuset worów z wełną.

Aż gdy wreszcie przyszedł do siebie, przede wszystkim zadał sobie pytanie:

– Co teraz będzie?

I ponieważ miał zwyczaj zastanawiać się nad każdym położeniem głęboko i jasno zdawać sobie z niego sprawę, przeto otrzeźwiawszy zupełnie począł tak rozumować:

– Abdolonim pomści się na mnie, gdyż nazwałem go niewolnikiem i kazałem mu pójść precz z domu. Zatem skaże mnie na śmierć, zagrabi mój majątek, a jeśli Thalestris nie wywietrzała mu wobec nowej godności z głowy, to weźmie ją jako niewolnicę do swego zamku. Próżno bym się też ludził, że tego wszystkiego nie uczyni, gdyż został królem i uczynić to może. Jest to rzecz okropna, ale nieunikniona. Życie bez majątku jest wprawdzie gorsze od śmierci, a jeśli przychodzą takie czasy, w których łokciem zdrowego rozumu nie można mierzyć ani wypadków, ani ludzi, to nic po mnie na świecie. Bo skądże ja mogłem przewidzieć, że ogrodnik zostanie królem? Znikąd. Takich

rzeczy może się spodziewać tylko ten, komu brak piątej klepki. Wszystko to jest prawda, jak również i to, że każdy człowiek musi umrzeć. A jednak śmierci się boję, i nawet boję się bardzo. Inaczej nie czułbym tych mrówek, które mi chodzą po plecach, i nie słyszałbym tych głuchych odgłosów we wnętrznościach. Ale czy jest na to rada? Nie ma. Są wszelako różne rodzaje śmierci. Zapewne, że zaszczytnej jest być usmażonym w oleju niż przybitym na krzyż, albowiem garniec oleju kosztuje pięć drachm fenickich, a krzyż można zbić z dwóch starych belek. Ale śmierć na krzyżu jest lżejsza, wskutek czego wolałbym być ukrzyżowanym, niż usmażonym. Fatalnie się też stało, że mówiłem coś Abdolonimowi o patelni. Któż jednak mógł odgadnąć, że w c z o r a j będzie tak do d z i ś niepodobne? Wczoraj omal nie kazałem zrzucić Abdolonima ze schodów za to, że chciał się z moją córką żenić, a dziś wypada mi chyba prosić bogów, aby jak najprędzej zabrał ją jako niewolnicę, bo może znalazłaby sposobność, aby się za mną wstawić. W każdym razie trzeba mi teraz pójść do niej, by ją pożegnać i pouczyć, co ma królowi powiedzieć. Oćwoczyłem ją wprawdzie wczoraj łądogami róż dość dotkliwie, ale jeśli odziedziczyła po mnie choć szczyptę rozsądku, powinna przecież zrozumieć, że ojciec, który jest niezadowolony z wyboru córki, ma prawo i obowiązek w jakiś sposób jej to okazać. Tak jest! Nie chcę się łudzić, ale cała moja nadzieja w Thalestris i trzeba jak najprędzej z nią się rozmówić.

Przemawiając tedy w ten sposób do własnej duszy stroskanej, udał się do pokoju dziewczycy, która po wrażeniach ubiegłej nocy spała tak silnie, że zaledwie zdołał się jej dobudzić.

– Thalestris, dziecię moje – rzekł uroczyście – otwórz oczy i uszy, albowiem nieszczęśliwy twój ojciec, który jest w obliczu śmierci, przychodzi pożegnać się z tobą i udzielić ci ostatniego błogosławieństwa.

Tu powiedział jej wielką nowinę nocy oraz to wszystko, o czym poprzednio w duszy rozmyślał. Lecz ona słuchała go jednym uchem, przeciągając się rozkosznie i leniwie, a w końcu rozbudziwszy się dobrze, ukryła nagle swą jasną twarz w poduszkę i wybuchnęła śmiechem tak dźwięcznym, jak gdyby kto rozsypał szklane paciorki na marmurową podłogę.

– Wyrodna córko! – zawołał z oburzeniem Marhabal. – Ty śmiejesz się, gdy, twój nieszczęśliwy ojciec, który jest w obliczu śmierci, przychodzi, aby pożegnać...

Ale nie zdołał skończyć, gdyż Thalestris zerwała się z purpurowej pościeli tak szybko, jak ptak zrywa się spośród kwiatów, i objawszy szyję ojca, cała różowa, do spłonionej jutrzeńki podobna, poczęła jednym tchem mówić:

– Ojcze, król przebaczył ci wczoraj, a mnie powiedział, że jestem królową króla!

Marhabal zmienił się w posąg kamienny – i dopiero po długiej chwili rzekł:

– Wróć do łóżka, Thalestris, albowiem nogi mi tak osłabły, że muszę usiąść.

Więc Thalestris wskoczyła znów do pościeli, a on siadł przy niej, zdjął myckę, przeciągnął raz i drugi ręką po ogolonej głowie i zapytał:

– Toś ty widziała króla?

– Widziałam.

– Kiedy?

– Dzisiejszej nocy

– Był u ciebie?

Dziewica ukryła znów twarz w poduszkę.

– Nie, ja byłam u niego!

Nowe milczenie.

– Przed obiorem czy po obiorze? – zapytał zmienionym głosem Marhabal.

– I przed obiorem, i po obiorze.

– Uf!...

– Thalestris!

– Słucham, ojczy...

– I ty... i ty powiadasz, że monarcha taki był łaskaw dla ciebie?...

– O! i jak jeszcze!

– Nie chowaj twarzy w poduszki.... Czy on był łaskaw przed obiorem – czy po obiorze?

– I przed obiorem, i po obiorze.

– Uf!...

Thalestris przestała istotnie kryć twarz w poduszki, albowiem spostrzegła, że oblicze ojca rozjaśnia się coraz bardziej w miarę rozmowy i staje się po prostu wesołe.

Jakoż Marhabal uśmiechnął się w końcu nie tylko wesoło, ale nawet figlarnie. Pogroził córce palcem, chwycił ją lekko za ucho i pochyliwszy się ku niej zapytał:

– A jak ty myślisz? Kto będzie dostawcą waszego dworu?...

WESELE

Pewnego razu członkowie areopagu w Atenach z archontami na czele, tudzież prythanowie, a wraz z nimi najznakomitsi sofiści, filozofowie, przedniejsi kupcy, artyści i delegowani przez miasto właściciele nieruchomości stanęli przed Markiem Antoniuszem, po czym tak zwany eponim, czyli. pierwszy archont, w ten sposób do niego przemówił:

– Bogom podobny i bogom równy Antoniuszu! Nie korzystać z twego pobytu w Atenach i nie złożyć ci czci przynależnej – byłoby z naszej strony zbrodnią, której dusze nasze nie zdołałyby odpokutować przez całą wieczność w Hadesie. Stajemy więc przed twoim obliczem i z tym większą radością, że w twej osobie, o boski, możemy uczcić zarazem Dionizjosa, którego jesteś wcieleniem – i Rzym, który jest naszym zwierzchnikiem, władcą i dobrodziejem. Wszyscy bowiem, ludzie rozsądni i umiarkowani – wszyscy, dla których drogi jest spokój i porządek, rozumieją, jaką wdzięczność winniśmy Rzymowi nie tylko za to, że w swoim czasie uwolnił nas spod przewagi macedońskiej, ale także i za to, że zagarnawszy pod swe skrzydła całą Helladę, pozbawił nas w ciągu lat następnych zbytecznej niepodległości i położył koniec naszym wewnętrznym niesnaskom. Jeżeli bowiem zdarzyły się przy tym pewne nieprzyjemne wypadki Związkowi Etołskiemu, Achajskiemu, tudzież dawnemu Koryntowi, jeśli później i nas, Ateńczyków, pokarał Sulla za czasów Mitrydata, to przyczyną tego była nasza lekkomyślność, nie zaś rzymska surowość. Ale wspomnienia Mumiusza i Sulli pokryły się już pyłem lat ubiegłych, natomiast świeżą jest pamięć nieograniczonego miłosierdzia boskiego Cezara i twego, o prześwietny Dionizjosie, którego sam pobyt między nami nową okrywa sławą nasz sławny i starożytny gród ateński. Mogliście nam odjąć wszystko i mielibyście zupełną słuszość tak czyniąc, a jednak w łasce swej zostawiliście nam tyle wolności, ile właśnie dla naszego szczęścia i spokoju potrzeba. Są wprawdzie między nami żywioły wywrotowe, są, niestety, ludzie, którzy, nie mogąc zapomnieć o czasach Milcjadesa i Temistoklesa, marzą o zupełnej niepodległości i całkowitej wolności – są demagodzy, którzy nie rozumieją, że przyszłość nasza da się utwierdzić jedynie pod hasłem: „Państwowość rzymska przy samorządzie miejscowym” – ale my, panie, którzy w tej chwili podnosimy w górę ramiona, a schylamy przed tobą, jak przed Zewsem, nasze głowy, nie podzielamy tych zbrodniczych zasad i potępiamy je zarówno usty, jak sercem. Oceń, boski, naszą wierność i przebac, jakieś przebaczył, że znalazło się kilku szaleńców, którzy poważyli się za czasów pobytu w naszym mieście Brutusa i Kasjusza wznieść im posągi obok starych posągów Arystogitona i Harmodiosa. Ani wszyscy za niektórych, ani dobrzy za złych, ani roztropni za głupich odpowiadać nie powinni. Toteż gdyś

niedawno kazał osmagać twym liktorom warcholów, którzy ośmielili się zaśpiewać na Ceramiku wstrętną i niedorzeczną pieśń: „Jeszcze Grecja nie zginęła, póki my żyjemy” – poznaliśmy w tym twą mądrość, która umie winnych od niewinnych odróżnić, i twoje miłosierdzie, które ci nie pozwoliło za wybryk garstki motłochu obłożyć kontrybucją poważnych i prawomyślnych obywateli. Lecz właśnie z tego powodu miłość i wdzięczność wezbrały tak bezgranicznie w naszych sercach, że przez kilka dni i nocy namyślaliśmy się, jak by ci ją wyrazić – i oto wznieśliśmy dwa wielkie twe spiżowe posągi, z których jeden stanął na rynku, drugi na Akropolu. Będziem je wieńczyć, o boski, codziennie, a tymczasem lud nasz zbiera się już przed nimi tłumnie i od rana do wieczora, panie, czci cię okrzykiem: – *Evoe saboi Dionisos!*

– *Evoe saboi Dionisos!* – powtórzyli członkowie areopagu, prythanowie, sofisci, artyści, kupcy i właściciele nieruchomości.

A Markus Antoniusz skinał w podzięce głową, przybraną w liście winogrodu, pochylił się lekko na swoim krześle z kości słoniowej i gdy okrzyki przebrzmiały, odpowiedział z dziwnym jakimś uśmiechem:

– Gdym za młodych lat bawił dla studiów w waszym mieście, zdumiewałem się już wówczas, Ateńczycy, nad waszą wymową i zdumiewam się nad nią dotychczas, albowiem przy obrotności waszej myśli czyni ona z was wzór, zaprawdę, niedościgniony. Podziwiam następnie w was i to, że mówiąc rzeczy, które tak mile głaszczą ucho słuchacza, umiecie zachować godność narodową i jak przystało potomkom Milcjadesa i Tetmistoklesa, potrafcie zawsze uniknąć przesady w pochlebstwie. Miło mi słyszeć o waszej miłości dla Rzymu i dla mnie, a jeszcze milej, że niepodległość uważacie za rzecz wam niepotrzebną i że potępiacie demagogów, którzy marzyć o niej nie przestali. Wiem zresztą, że ich jest już niewiele i że zdrowy rozsądek bierze górę nie tylko w Atenach, ale i w całej Helladzie. Ten rozsądek widzę i w tym, że niedawno jeszcze uczciliście w bardzo praktyczny sposób posągami Brutusa i Kasjusza, którzy wówczas byli panami Grecji. O praktyczności tego sposobu wspomnę jeszcze za chwilę, tymczasem oświadczam wam, że wierzę w szczerść waszych intencji, jakkolwiek nie wątpię, że jeśli w niezbadanych wyrokach Przeznaczenia leży, abym i ja (czego się, nie spodziewam) został w przyszłości przez kogo zwyciężony – to wzniesiecie tak samo posągi i mojemu zwycięzcy. Ale nie biorę wam tego za złe, Ateńczycy, tym bardziej że przyszłość wolno przepowiadać tylko wyroczniom, a tymczasem w terażniejszości uczyniliście mnie waszym bogiem Dionizjosem, który i w Rzymie pod nazwą Bachusa jest czczony. I zaiste, mili, jeśli Dionizjosa poznać można po miłości do bachantek i wina, to ja nim jestem, albowiem nikt z potomków Deukaliona nie miłuje tak ładnych dziewcząt – i nie było jeszcze chyba człowieka, który by do tego stopnia lubił się w dobrej kompanii zakropić!...

Tu roześmiał się potężny triumwir, a za nim roześmieli się wielcy urzędnicy; filozofowie, sofisci, właściciele realności i poczęli wołać zgodnym chórem:

– Rozkoszny! Rozkoszny! Najlepszy z bogów!

Lecz Antoniusz uciszył dłonią okrzyki i tak dalej mówił, zawsze z tym samym dziwnym na twarzy uśmiechem:

– Dzięki za te okrzyki – i niech mi wolno będzie wypłacić się za nie jeszcze jedną dla was pochwałą. Oto u żadnego innego narodu i w żadnym innym mieście zapal nie idzie tak ręka w rękę z tym właśnie praktycznym rozsądkiem, który przed chwilą wysławiałem, i nie znajduje się w tak boskiej z nim

harmonii. Często bywają to rzeczy przeciwne – wy jedni umiecie je godzić. Kocham ci ja, jako Dionizjos, wino, ale z powodu wczesnej godziny nic jeszcze nie piłem, przeto i pamięć moja nie chwieje się jak statek na morzu, ale stoi silnie i prosto jak kolumny waszego Partenonu. Wdzięczny wam tedy jestem, żeście uczcili mnie posągami, ale pozwólcie sobie powiedzieć, że te posągi pamiętam jeszcze z czasów mej wczesnej młodości i pierwszego pobytu w Atenach. Przedstawiały one wówczas Eumenesa II, króla Pergamu. Ale gdy przybyli tu Brutus i Kasjusz, odkręciliście głowy Eumenesa, a nasadziliście ich oblicza. Teraz znów ich głowy zastąpione zostały moimi. W taki to sposób miłość, która kazała wam wznieść mi posągi, znalazła się w boskiej harmonii z rozsądkiem, który nakazuje oszczędność. Dzięki więc składam wam, Ateńczycy, raz jeszcze i proszę, abyście wierzyli, że kochać i podziwiać mnie więcej niż ja was – nigdy nie potraficie.

Na chwilę zapadła cisza i zakłopotanie odbiło się na kilku twarzach, wnet jednak zaradziła temu przytomność wymownego eponima, który, mając w pogotowiu dalsze sposoby uczczenia nowego boga, tak odpowiedział triumwirowi:

– Niegotowa jeszcze była, o panie, mieszanina miedzi, cyny i złota, szlachetniejsza od tej, z której odlane zostały Eumenesy, więc tylko tymczasem przyozdobiliśmy te posągi twymi boskimi rysami. Ale zaprawdę, gdybyśmy tylko z tym do ciebie przyszli, zasłużylibyśmy względem ciebie i Rzymu na miano niewdzięczników. Lecz gdy wysłuchasz nas do końca, prześwietny, sam uznać musisz, że uradziliśmy coś takiego, co jest ciebie i nas godnym zarówno.

– Słucham – odrzekł Antoniusz – ale niech wymowa twoja nie okraża całej ziemi wzorem nieskończonego Okeanosa.

– Brzydzimy się, panie, lakońską wymową, tak jak ty brzydzisz się spartańską polewką, postaram się jednak, aby okresy moje nie były tak długie jak owe mury, które niegdyś łączyły Pireus z naszym miastem. Więc zwracam się od razu do ciebie w imieniu naszego grodu, w imieniu wszystkich obywateli i mówię ci, najlepszy z bogów: oto miłość nasza dla ciebie tak niezgłębiona jak wody tego Okeanosa, o którym przed chwilą wspomniałeś, dyktuje nam następującą prośbę: okaż nam jeszcze jedną łaskę, przyspórz sławy Atenom i wstąp, boski, u nas w nowy związek małżeński, a nam pozwól, abyśmy ci wyprawili godną ciebie uroczystość weselną.

Antoniusz, jakkolwiek byle czym zdziwić go było niepodobna, usłyszawszy te słowa zdumiał jednak tak, że długo nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Oślupiałym wzrokiem wodził po twarzach swatów, którzy stali w głębokim milczeniu.

Lecz że Ateńczycy słynęli zawsze ze złośliwego dowcipu i skłonności do szyderstw, przeto wzburzyła się w nim dusza na myśl, że może i z niego chcą zadrwić. Złowrogie błyskawice poczęły wnet migotać w jego źrenicach.

– Obywatele Aten! – rzekł zmienionym głosem. – Jeśli to żart niewczesny, to odpokutujecie za niego nie tylko wy, ale i nie urodzone jeszcze wasze przyszłe pokolenia. Jeśli zaś przysłuchacie prosić mnie o to prawdziwie, to chyba Helios zbyt palącym promieniem powarzył mózgi w waszych czaszkach.

Tu zgrzytnął zębami i dodał głosem do grzmotu Zewsa podobnym:

– Zali nie wiecie, że żoną moją jest Oktawia, i zali opuściła was pamięć, że jeszcze wczoraj ofiarowaliście jej białe gołębie i złote girlandy z janowca?

To rzekłszy powstał – ogromny, groźny, z lwimi zmarszczkami na czole.

Lecz niezmierny wcale eponim podniósł głowę i, patrząc mu wprost w oczy, odpowiedział:

– Jako człowiek poślubiłeś siostrę twego wielkodusznego kolegi, Oktawię, którą wielbimy, ale jako bóg masz prawo poślubić boginię. Ofiarujemy ci, panie, w małżeństwo naszą Atenę Grodowładną i błagamy, abys ją przyjął z rąk naszych.

Nastąpiło długie milczenie.

Taki dowód czci przeszedł nawet wyobraźnię Antoniusza, więc znów zaczął spoglądać przed się zdumionym wzrokiem. Ale gniew zniknął stopniowo z jego oblicza. Na chwilę wódz zwrócił się ku swym Rzymianom i spostrzegłszy uśmiech legata, uśmiechnął się wzajem do niego, po czym usiadł i przesłonił oczy dłonią.

Lecz gdy ją znów odjął, ukazał Grekom wesołe już i promienne oblicze.

– Poznaję was, Ateńczycy – rzekł – a zarazem przyznaję, że więcej nie mógłby mi sam Zews ofiarować. Żaden z bogów nie odmówiłby ręki Ateny, a zwłaszcza Grodowładnej – przeto i ja, wasz Dionizos, przyjmuję ją z radością.

– Dzięki ci, przyszedł zwycięzco Partów! – zawołał archont-basileus.

I podniósłszy dłoń otworzył usta, aby w obszerniejszym przemówieniu wyrazić całą wdzięczność, jaką były przejęte serca swatów, ale triumwir nie chciał słuchać dłużej. Był dotychczas na czczo, co nie wydawało mu się rzeczą przystojną ani miłą. Może przy tym miał dosyć Greków razem z ich wymową i pochlebstwami, więc wstał na znak, że przyjęcie skończone, i rzekł:

– Idźcie teraz, o Ateńczycy, oznajmić moją radość oblubienicy i ludowi, a na uczcie, jaką zamierzam wam wieczorem wyprawić, powiecie mi, w jaki sposób zamierzacie uświęcić moje gody weselne.

Zatem swatowie, złożywszy Dionizosowi odpowiednie pokłony, dzięki i życzenia, udali się do domów swoich. Lecz zanim się rozeszli, przystanęli nieco na agora i mówili jedni do drugich, kiwając ku sobie siwymi brodami:

– Oto się nazywa polityka! Niechże przeciwnicy nasi zdobędą się na podobną!

Gody weselne Dionizosa z Ateną Grodowładną odbyły się w kilka dni później tak wspaniale, że nawet Panatenaje nie mogły się z nimi porównać. Były uroczyste procesje z kapłanami wszystkich świątyń i z dziewicami w bieli – przeciągały gromady cudnych efebów i dziecięta poprzebierane za amorków. Szły białe byki i białe jałowice ze złożonymi rogami – i wozy zaprzężone we wspaniałe rumaki, o sterczących, przyciętych krótko grzywach. Porozsypywano tak świętą mąkę jęczmienną przy ofiarach, że stopy ofiarników ubieliły się jak stopy młynarzy. Kwiaty, kwieciste tyrsy, wieńce z róż, lilij i sasanków, girlandy i zwoje na kolumnach rozjaśniły miasto jedną stubarwną tęczą. Zieleń mirtów i winogrodu oplotła białe marmury. Bito na ucztę powszechną stada wołów i krętorogich baranów. Na agora tryskały purpurą i złotem fontanny wina. Lud jadł, pił i szalał. Ciskano kośćmi i kopytami spożytych zwierząt na „nieprzejednanych”. Mury drżały od śpiewów i okrzyków na cześć bo-

skiej pary, a gdy słońce przetoczyło się w stronę Morza Jońskiego i na niebo wszedł srebrny księżyc, zaświeciły tysiące i tysiące pochodni, jak gdyby pożar objął miasto.

I w taki to sposób, w obliczu Ateńczyków, tudzież i innych Greków, którzy zbiegli się z Eubei, z Eleusis z Megary, z nowo odbudowanego Koryntu i innych miast achajskich, wyszła za mąż dziewicza Grodowładna Atena.

Zaś w tydzień później, gdy wszyscy swatowie triumwira dostali wezwanie, aby stawili się przed nim powtórnie, zebrali się naprzód na agora i tam, ustawiając się wedle godności w pary, tak wzajem do siebie mówili:

– Serce Antoniusza wezbrało radością, jak Ilissus wzbiera od deszczów wiosennych, ale że hojny jest jak kopalnie Cypru, więc niechybnie obdarzy miasto niezmiernie. Co najmniej podaruje Atenom kilka większych wysp, a i nas osobiście uczci również wielkimi podarkami.

I pełni otuchy stanęli przed obliczem Antoniusza.

Lecz ze zdziwieniem a zarazem i z trwogą zauważyli, że oblicze to było posępne, surowe i nie zapowiadało im nic dobrego. Toż i słowa, którymi do nich przemówił, twarde były i zimne jak rzymskie miecze.

– Obywatele Aten! – rzekł. – W dowód miłości dla mnie a zarazem przez wdzięczność dla Rzymu oddalicie mi w małżeństwo waszą Atenę Grodowładną. W chwili gdyście mi ją ofiarowali, sądziłem, że czynicie to szczerze, obecnie jednak przekonałem się, że jesteście ludźmi pozbawionymi bojaźni bożej i wiary...

Struchleli słysząc to Ateńczycy i wyciągnęli błagalnie ręce, triumwir zaś powtórzył z większym jeszcze naciskiem:

– Tak jest! – bez bojaźni bożej i bez wiary. Wasi przodkowie skazali na śmierć za bezbożność najmędrszego z ludzi, Sokratesa, ale was stokroć słuszniej można by nazwać bezbożnikami. A jeśli wy, niby to ojcowie miasta, dajecie taki przykład, do czegoż dojdzie gmin ateński i na co wyrośnie wasza młodzież? Na szczęście, nawet i w Atenach istnieją kary na bezbożników, drżycie zatem, albowiem zawisła nad wami zemsta praw boskich i ludzkich!

A oni istotnie drzeć poczęli, gdyż dusze ich ogarnął „boski popłoch”, a przy tym i kolana nie miały już dawnej siły młodzieńczej.

– Pani! – zapytał eponim głosem do jęku podobnym – wiemy, iż jako bóg, mylić się nie możesz, ale racz nam oznajmić przyczynę twego słusznego gniewu, bo oto chitony stały się na nas mokre od zimnego potu, który wystąpił na nasze ciała.

– Pytacie o przyczynę – odrzekł z gorzką ironią Antoniusz. – Więc do tego stopnia doszła wasza zatwardziałość, że sami nie możecie się jej domyślić? Na Styks i wszystkie czeluści Hadesu, do których dziś jeszcze zstąpicie! Toż gdybym ja, Antoniusz-Dionizos, pojał za małżonkę córkę ostatniego chłopca ateńskiego, jeszcze by ten chłop pomyślał dla niej o posagu. A wy! – wy daliście mi w małżeństwo boginię, patronkę waszego miasta, i daliście mi ją tak, jak nigdy nie poważył się jej przedstawić żaden rzeźbiarz, to jest gołą jak owe posagi, które nawet figowego liścia nie mają. Atena Grodowładna! Ha! pięknie Grodowładna! Ani złamanej drachmy! Ani dziurawego obola! O hańbo! o wstydzie! o bezbożności! Znieważyc tak córkę Zeusa! ubliżyć tak jej, mnie i Rzymowi! W dziejach świata nie ma przykładu, by kto zniewagę taką bogom

wyrządził, jak również chyba w Hadesie znajdują się dostateczne za taką zbrodnię kary!

„Boski popłoch” ogarniał coraz bardziej dusze swatów.

– Zgrzeszyliśmy! Zgrzeszyliśmy, panie, ale daj nam czas na pokutę i pozwól się poprawić! – zawołało kilkanaście stłumionych głosów.

Po tych słowach oblicze Antoniusza stało się mniej lodowate, a czoło jego poczęło się nieco rozchmurzać. Czas jakiś przesywał jeszcze wzrokiem skulone i przelękłe postacie ateńskiej starszyny, po czym rzekł:

– Mamże znów okazać wam miłosierdzie? Ha, niech tak będzie! Idźcie tedy do domów waszych i pomyślcie o ofierze pokutnej. Ale biada wam, jeśli ta ofiara będzie wynosiła mniej niż sześć milionów drachm attyckich, albowiem mniejszy posąg dla Ateny byłby tylko nowym dowodem waszego braku wiary i waszej bezbożności.

To rzekłszy wstał z krzesła i zwróciwszy się do swych Rzymian przymrużył jedno oko, a areopagici, prythanowie, filozofowie, kupcy i właściciele realności powolnym krokiem i z opuszczonymi głowami udali się do domów.

Lecz przystanęli nieco na rynku i odetchnawszy głęboko, poczęli kiwać siwymi brodami, po czym jeden rzekł:

– Ha! – trzeba dać!... Lud zapłaci i lud będzie szemrał, ale historia odda nam sprawiedliwość, albowiem tylko nasza polityka może nam zjednać i zachować łaskę Rzymu.

PÓJDŹMY ZA NIM!

I

Kajus Septimus Cinna był patrycjuszem rzymskim. Młodość spędził w legionach i twardym obozowym życiu. Później wrócił do Rzymu, by używać sławy, rozkoszy i wielkiego, lubo już nieco zachwianego majątku. Użył też wówczas i nadużył wszystkiego, co dać mogło olbrzymie miasto. Noce spędzał na ucztach we wspaniałych podmiejskich willach; dni schodziły mu na szermierkach u lanistów, na rozmowach z retorami w tepidariach, gdzie prowadzono dysputy, a przy tym opowiadano plotki z miasta i świata – w cyrkach, na wyścigach lub zapasach gladiatorów – wśród lutnistów greckich, wśród wróżek trackich i cudnych tancerek, sprowadzanych z wysp Archipelagu. Krewny przez matkę sławnego niegdy Lukulla, odziedziczył po nim zamiłowanie do wytwornego jadła. Na stołach jego podawano greckie wina, ostrygi z Neapolis, kozatki z Numidii i tłuste szarańcze, duszone na miodzie z Pontu. Wszystko, co posiadał Rzym, musiał posiadać i Cinna, począwszy od ryb z Morza Czerwonego aż do białych pardw znad brzegów Borystenu. Używał on jednak nie tylko jak żołnierz, który szaleje, ale jak patrycjusz, który przebiera. Wmówił w siebie, a może i wzbudził zamiłowanie do rzeczy pięknych: do posażków, wydobywanych ze zgliszcz Koryntu, do epilychniów z Attyki, do waz etruskich lub sprowadzanych z mglistego Sericum, do mozaik rzymskich do tkanin znad Eufratu, do arabskich wonności i tych wszystkich osobliwych drobiazgów, które wypełniały czczość patrycjuszowskiego życia. Umiał też o nich rozmawiać, jak znawca i miłośnik, z bezzębnymi starcami, którzy przyozdabiali do stołu łysiny w wieńce z róż, a po ucztach żuli kwiat heliotropu, by oddech płuc uczynić wonnym. Odczuwał również piękność Cycleronowskiego okresu, wiersz Horacego lub Owidiusza. Wychowany przez retora Ateńczyka, mówił biegle po grecku, umiał na pamięć całe ustępy z *Iliady* i w czasie uczt mógł śpiewać tak długo pieśni Anakreonta, dopóki się nie spił lub nie ochrypl.

Przez swego mistrza i innych retorów otarł się o filozofię i zapoznał się z nią o tyle, że rozumiał architekturę różnych umysłowych gmachów, powznoszonych w Helladzie i Osadach; rozumiał i to również, że wszystkie leżały w gruzach. Znał osobiście wielu stoików, do których żywił niechęć, uważał ich bowiem raczej za partię polityczną, a prócz tego za tetryków, przeciwnych wesółemu życiu. Sceptycy zasiadali często przy jego stole, obalając między potrawami całe systemy i głosząc, przy kraterach napełnionych winem, że rozkosz jest marnością, prawda czymś niedoścignionym i że celem mędrca może być jedynie martwy spokój.

Wszystko to obijało się o jego uszy, nie wnikając do głębi. Nie wyznawał on żadnych zasad i nie chciał ich mieć. W postaci Katona widział skojarzenie się

wielkiego charakteru z wielką głupotą. Życie uważał za morze, na którym wieją wiatry, dokąd chcą – a mądrością była dla niego sztuka nadstawiania im żagla tak, by łódź popychały. Prócz tego cenił szerokie ramiona, które posiadał, zdrowy żołądek, który posiadał, i piękną rzymską głowę, o orlim profilu i potężnych szczękach, którą posiadał. Był też pewny, że z tym można jakoś przejść przez życie.

Nie należąc do szkoły sceptyków, był życiowym sceptykiem, ale zarazem hedonikiem, chociaż wiedział, że rozkosz nie jest szczęściem. Prawdziwej nauki Epikura nie znał, skutkiem czego sam poczytywał się za epikurejczyka. W ogóle na filozofię patrzył jak na umysłową szermierkę, równie dobrą jak ta, której uczyli laniści. Gdy go rozprawy znudziły, szedł do cyrku patrzeć na krew.

W bogów nie wierzył, tak samo jak w cnotę, prawdę i szczęście. Wierzył tylko we wróżby i miał swoje przesady, a oprócz tego tajemnice wiary Wschodu budziły jego ciekawość. Dla niewolników był dobrym panem, o ile chwilowa nuda nie przywodziła go do okrucieństwa. Mniemał, że życie jest wielką amforą, którą im lepszy gatunek wina wypełnia, tym jest cenniejszą, więc starał się swoją wypełnić jak najlepszym. Nie kochał nikogo, ale lubił wiele rzeczy, między innymi zaś własną orlą głowę o czaszce wspaniałej – i swoją kształtną patrycjuszowską nogę.

W pierwszych latach hulaszczej epoki lubił także zadziwiać Rzym i udało mu się to kilkakrotnie. Później zobojętniał i na to.

II

W końcu zrujnował się. Majątek rozdrapali wierzyciele. Cinnie natomiast zostało znużenie jakby po wielkim trudzie, przesyt i jeszcze jedna, bardzo niespodziana rzecz, mianowicie jakiś głęboki niepokój. Użył przecie bogactwa, użył miłości, tak jak ją świat ówczesny rozumiał, użył rozkoszy, użył sławy wojennej, użył niebezpieczeństw; poznał mniej więcej zakres myśli ludzkiej, zetknął się z poezją i sztuką; więc mógł sądzić, że wziął z życia wszystko, co ono dać mogło. Tymczasem teraz miał takie uczucie, jakby czegoś zaniechał – i to czegoś najważniejszego. Nie wiedział jednak, co to jest, i próżno łamał sobie nad tym głowę. Nieraz próbował się z tych rozmyślań i z tego niepokojem otrząsnąć, próbował w sobie wmówić, że w życiu nic więcej nie ma i być nie może, ale wówczas niepokój jego, zamiast się zmniejszać, wzrastał natychmiast do tego stopnia, iż mu się zdawało, że się niepokoi nie tylko za siebie, ale za cały Rzym. Jednocześnie zazdrościł sceptykom i zarazem miał ich za głupców, ponieważ twierdzili, że próżnię można doskonale wypełnić niczym. Było w nim teraz jakby dwóch ludzi, z których jeden zdumiewał się własnym niepokojem, drugi uznawał go mimo woli za zupełnie słuszny.

Wkrótce po utracie majątku, dzięki możliwym rodzinnym wpływom, wysłano Cinne na urządowanie do Aleksandrii, trochę w tym celu, by w bogatym kraju odbudował na nowo majątek. Niepokój siadł z nim na okręt w Brundisium i towarzyszył mu przez morze. W Aleksandrii myślał Cinna, że sprawy urzędu, nowi ludzie, inny świat, nowe wrażenia uwolnią go od natrętnego towarzysza – i omylił się. Upłynął miesiąc, dwa – i równie jak ziarno Demetri, przywiezione z Italii, wschodziło jeszcze bujniej na żyznym gruncie Delti,

tak i ów niepokój z bujnego krzewu zmienił się jakby w cedr rozłożysty i począł rzucać coraz większy cień na duszę Cinny.

Z początku próbował Cinna zagłuszyć się takim życiem, jakie dawniej prowadził w Rzymie. Aleksandria była rozkosznym miastem, pełnym Greczynek o płowych włosach i jasnej cerze, którą egipskie słońce powłóczyło bursztynowym przezroczym połyskiem. W ich to ramionach szukał ukojenia.

Lecz gdy i to okazało się próżnym, począł myśleć o samobójstwie. Wielu jego towarzyszków zbyło się trosk życia właśnie w taki sposób i z powodów jeszcze bliższych niż powód Cinny, często z nudy tylko, z czczości lub z braku ochoty do dalszego używania. Gdy niewolnik trzymał miecz zręcznie i dość silnie, jedna chwila kończyła wszystko. Cinna chwycił się tej myśli, lecz gdy już prawie postanowił pójść za nią, powstrzymał go dziwny sen. Oto zdawało mu się, że gdy przewożono go przez rzekę, spostrzegł na drugim brzegu swój niepokój, w postaci wynędzniałego niewolnika, który skłoniwszy mu się rzekł: „Uprzedziłem cię, by cię przyjąć”. – Cinna zląkł się po raz pierwszy w życiu, zrozumiał bowiem, że skoro o pogrobowym istnieniu nie może myśleć bez niepokoju, to pójdą tam we dwóch.

W ostateczności postanowił zbliżyć się do mędrców; od których roiło się Serapeum, sądząc, że może u nich znajdzie rozwiązanie zagadki. Ci wprawdzie nie potrafili nic mu rozwiązać, ale za to mianowali go „*tu museju*”, który to tytuł przyznawali zwykle Rzymianom wysokiego rodu i znaczenia. Na razie mała to była pociecha i stempel mędrca dany człowiekowi, który nie umiał sobie odpowiedzieć na to, co go obchodziło najżywiej, mógł wydawać się Cinnie ironią – przypuszczał jednak, że Serapeum może nie od razu odsłania całą swą mądrość – i nie tracił zupełnie nadziei.

Najczynniejszym między mędrcami w Aleksandrii był szlachetny Tymon Ateńczyk, człowiek możny i obywatel rzymski. Mieszkał on od kilkunastu lat w Aleksandrii, dokąd przybył dla zgłębienia tajemniczej nauki egipskiej. Mówiono o nim, że nie było ani jednego pergaminu lub papirusu w Bibliotece, którego by nie przeczytał – i że posiadał całą mądrość ludzką. Był przy tym człowiekiem słodkim i wyrozumiałym. Wśród mnóstwa pedantów i komentatorów o skrzepłych mózgach Cinna wyróżnił go od razu i wkrótce zawarł z nim znajomość, która po pewnym czasie zmieniła się w bliższą zażyłość, a nawet przyjaźń. Młody Rzymianin podziwiał jego biegłość w dialektyce, wymowę, i rozwagę, z jaką starzec mówi o rzeczach wzniosłych, dotyczących przeznaczeń człowieka i świata. Uderzało w nim szczególnie to że owa rozważa była połączona jakby z pewnym smutkiem. Później, gdy zbliżyli się z sobą, niejednokrotnie brała Cinne ochota zapytać starego mędrca o powód tego smutku, a zarazem otworzyć przed nim własne serce. Jakoż w końcu do tego przyszło.

III

Pewnego wieczoru, gdy po gwarnych rozprawach o wędrówce dusz zostali sam na sam na tarasie, z którego widok był na morze, Cinna, wzięwszy rękę Tymona, wyznał otwarcie, co mu było największym udręczeniem życia i dla jakich powodów starał się zbliżyć do uczonych i filozofów z Serapeum.

– Tyle przynajmniej zyskałem – rzekł w końcu – żem poznał ciebie Tymonie, i teraz wiem, że jeśli ty nie rozwiążesz zagadki mego życia, nikt inny tego uczynić nie zdoła.

Tymon wpatrywał się czas jakiś w wygładzoną toń morską, w której odbijał się nów księżycy, po czym rzekł:

– Widziałeś, Cinno, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków północy? Czy wiesz, czego one szukają w Egipcie?

– Wiem. Ciepła i światła.

– Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które oznacza prawdę. Ale ptaki wiedzą, dokąd lecieć po swe dobro, dusze zaś latają po bezdrożach, w zabłąkaniu, smutku i niepokoju.

– Czemu, szlachetny Tymonie, nie mogą znaleźć drogi?

– Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofia będzie dla dusz słońcem prawdy – dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach i w Rzymie, i w Akademii w Atenach, i tu siedzą sceptycy, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wnieśli niepokój. Bo wyrzec się światła i ciepła jest to zostawić duszę w ciemności, która jest niepokojem. Więc wyciągnawszy ręce przed siebie szukamy po omacku wyjścia.

– Zali i ty go nie znalazłeś?

– Szukałem i nie znalazłem. Tyś szukał go w rozkoszy, ja w myśleniu – i obu nas jednaka mgła otacza; wiedz przeto, że nie sam jeden się dręczysz i że w tobie dręczy się dusza świata. Wszakże od dawna już nie wierzysz w bogów?

– W Rzymie czczą ich jeszcze publicznie i sprowadzają nawet nowych z Azji i Egiptu, ale wierzą w nich szczerze chyba tylko przekupnie jarzyn, którzy z rana przyjeżdżają ze wsi do miasta.

– I ci są jedynie spokojni.

– Równie jak ci, którzy tu biją pokłony kotom i cebuli.

– Równie jak ci, którzy, jak syte zwierzęta, nie pragną niczego więcej, tylko snu po jadle.

– Lecz czyli wobec tego warto żyć?

– Zali wiemy, co nam przyniesie śmierć?

– Więc jakaż jest różnica między tobą a sceptykami?

– Sceptycy godzą się na ciemność lub udają, że się godzą, ja zaś męcę się w niej.

– I ty nie widzisz wybawienia?

Tymon umilkł na chwilę, po czym odrzekł z wolna, jakby z pewnym wahaniem:

– Czekam go.

– Skąd?

– Nie wiem.

Po czym wsparł głowę na dłoni i jakby pod wpływem ciszy, która zalegała tarasy, począł mówić również przyciszonym głosem:

– Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nic więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy niczym więcej być nie mogli nad to, czym jesteśmy, to by nie było w nas niepokoju... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofia zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam.

Nadspodziewanie rozmowa ta przyniosła Cinnie wielką ulgę. Usłyszawszy, że nie tylko on jest chory, ale cały świat chory, doznał takiego uczucia, jakby ktoś zdjął z niego ogromny ciężar i rozłożył go na tysiące ramion.

IV

Od owego czasu przyjaźń łącząca Cinnę ze starym Grekiem stała się jeszcze ściślejsza. Odwiedzali się teraz często i dzielili się tak myślami, jak chlebem w czasie uczt. Cinna zresztą, mimo swych doświadczeń i znużenia, które idzie za użyciem, był zbyt młodym, by życie nie miało jeszcze chować dla niego ponęt nieznanych – i taką właśnie ponętę znalazł w jedynej córce Tymona, Antei.

Sława jej nie była mniejszą w Aleksandrii od sławy ojca. Wielbili ją dostojni Rzymianie, bywający w domu Tymona; wielbili Grecy, wielbili filozofowie z Serapeum i wielbił lud. Tymon nie zamykał jej w ginaeceum, jak były zamykane inne kobiety, i starał się przelać w nią wszystko, co sam wiedział. Gdy wyszła z lat dziecinnych, czytywał z nią księgi greckie, a nawet rzymskie i hebrajskie, gdyż obdarzona nadzwyczajną pamięcią a wychowana w różnorodnej Aleksandrii wyuczyła się biegle tych języków. Była mu ona towarzyszem w myślach, często brała udział w rozprawach, jakie podczas sympozjónów prowadzono w domu Tymona, często w labiryncie trudnych zagadnień umiała, jak Ariadna, nie zabłąkać się sama i drugich za sobą wyprowadzić. Ojciec miał dla niej podziw i cześć. Otaczał ją prócz tego urok tajemnicy i niemal świętości, albowiem miewała sny wróżebne, w których widywała rzeczy niewidzialne dla zwykłych oczu śmiertelnych. Stary mędrzec kochał ją jak duszę własną jeszcze i dlatego, że obawiał się ją stracić, częstokroć bowiem mówiła, że w snach zjawiają się jej jakieś istoty, dla niej złowrogie – i jakieś dziwne światło, o którym nie wie, czy będzie źródłem życia, czy śmierci.

Tymczasem jednak otaczała ją tylko miłość. Egipcjanie, którzy bywali w domu Tymona, zwali ją Lotusem, może dlatego, że kwiat ten odbierał boską cześć na wybrzeżach Nilu, a może dlatego, że kto ją raz ujrzał, mógł zapomnieć o całym świecie.

Piękność jej bowiem dorównywała mądrości. Egipskie słońce nie przyćmiło jej twarzy, w której różowe promienie świtu zdawały się być zamknięte w przezroczu muszli perłowej. Oczy jej miały błękit Nilu, a spojrzenie płynęło z równie nieznanymi oddaleń, jak wody tej tajemniczej rzeki. Gdy Cinna ujrzał i usłyszał ją po raz pierwszy, wróciwszy do siebie miał ochotę w atrium swego domu wzniesić na jej cześć ołtarz i ofiarować na nim białe gołębie. Spotykał on w życiu tysiące kobiet, począwszy od dziewcząt z głębokiej Północy, o białych rzęsach i włosach barwy dojrzałych zbóż, aż do czarnych jak lawa Numidek – ale nie spotkał dotychczas ni takiej postaci, ni takiej duszy. I im częściej ją widywał, im lepiej poznawał, im częściej zdarzało mu się słuchać jej słów, tym bardziej rosło jego zdumienie. Chwilami on, który nie wierzył w bogi, przypuszczał, że Antea nie może być córką Tymona, tylko jakiegoś boga, więc na wpół tylko jest kobietą, na wpół zaś nieśmiertelną.

I wkrótce pokochał ją miłością niespodziewaną, ogromną i nieprzepartą, tak różną od uczuć, jakich doznawał dotychczas, jak Antea była różną od innych kobiet. Chciał ją posiadać tylko po to, aby ją czcić. Gotów zaś był oddać krew, by ją posiadać. Czuł, że wolałby być żebrakiem z nią niż cezarem bez niej. I jak wir morski porwa z niepohamowaną potęgą wszystko, co znajdzie się w jego okręgu, tak miłość Cinny porwała jego duszę, serce, myśli, jego dni, noce i wszystko, z czego składa się życie:

Aż wreszcie porwała i Anteę.

– *Tu felix, Cinna!* – powtarzali mu przyjaciele. – *Tu felix, Cinna!* – powtarzał sam sobie, i gdy ją wreszcie zaślubił, gdy jej boskie usta wyrzekły sakramentalne słowa: „Gdzie ty, Kajus, tam i ja, Kaja” – wówczas zdawało mu się, że szczęście jego będzie jak morze – nieprzebrane i bez granic.

V

Rok przeszedł i ta młoda żona odbierała zawsze przy ognisku domowym cześć niemal boską; była mężowi żrenicą oka, miłością, mądrością, światłem. Ale Cinna, porównywając swe szczęście z morzem, zapomniał, że morze mie- wa odpływy. Po roku Antea zapadła na okrutną, nieznaną chorobę. Sny jej zmieniły się w straszne widzenia, które wyczerpywały jej życie. Na jej twarzy zgasły promienie świtu, została tylko przezroczyść muszli perłowej; ręce jej poczęły przeświecać, oczy zapadły głęboko pod czoło – i różowy lotus sta- wał się coraz bardziej białym lotusem, tak białym jak twarze umarłych. Za- uważono, że jastrzębie poczęły krążyć nad domem Cinny, co w Egipcie było wróżbą śmierci. Widzenia stawały się coraz straszliwsze. Gdy w południo- wych godzinach słońce zalewało świat białym blaskiem, a miasto pogrążało się w milczenie, zdawało się Antei, że słyszy wokół siebie szybkie kroki ja- kichś niewidzialnych istot, a w głębiach powietrza widzi suchą, żółtawą twarz trupią, spoglądającą na nią czarnymi oczyma. Oczy te wpatrywały się w nią uporczywie, jakby wzywając ją, by gdzieś szła, w jakiś mrok pełen ta- jemnic i lęku. Wówczas ciało Antei poczynęło drżeć jak w febrze, czoło jej pokrywało się bladością, kroplami zimnego potu, i ta czczona kapłanka do- mowego ogniska zmieniała się w bezbronne i przerażone dziecko, które chroniąc się na piersi męża, powtarzało zbielełymi ustami: „Ratuj mnie, Ka- jusie! broń mnie!”

I Kajus byłby się rzucił na wszelkie widmo, jakie z podziemia mogła wypu- ścić Persefona, ale próżno wpijał wzrok w przestrzeń. Naokół, jak zwykle w godzinach południowych, bywała pustka. Białe blask zalewał miasto; morze zdawało się płonąć w słońcu, a w ciszy słyhać było tylko kwilenie jastrzębi krążących nad domem.

Widzenia stawały się coraz częstsze – potem codzienne. Prześladowały one Anteę zarówno na zewnątrz domu, jak w atrium i w izbach. Cinna za poradą lekarzy sprowadzał sambucyny egipskie i Beduinów grywających na glinia- nych piszczałkach, którzy gwarną muzyką mieli zagłuszać ów szum niewi- dzialnych istot. Ale okazało się to próżnym. Antea słyszała go wśród naj- większego gwaru, a gdy słońce stanęło tak wysoko, że cień leżał około nóg człowieka jak obsunięta z ramion szata, wówczas w drgającym z żaru po-

wietrze zjawiała się trupia twarz i patrząc szklanymi oczyma na Anteę, cofała się z wolna, jakby chcąc jej powiedzieć: „Chodź za mną!”

Czasem wydawało się Antei, że usta trupa poruszają się z wolna, czasem, że wylatują z nich czarne, szkaradne żuki i lecą ku niej przez powietrze. Na samą myśl o widzeniu, oczy jej napełniały się przerażeniem, a w końcu życie stało się dla niej męką tak straszną, że prosiła Cinny, aby jej nadstawił miecz lub pozwolił wypić truciznę.

A on wiedział, że tego uczynić nie zdoła. Tym samym mieczem powyparałby sobie dla niej żyły, ale zabić jej nie mógł. Gdy sobie wyobrażał tę drogą głowę martwą, z zamkniętymi powiekami, pełną mroźnego spokoju, i tę pierś rozdartą jego mieczem, wówczas czuł, że chcąc to uczynić musiałby pierwej oszaleć.

Pewien lekarz grecki powiedział mu, że to Hekate pojawia się Antei, a owe niewidzialne istoty, których szelest przeraża chora, należą do orszaku złowrogiego bóstwa. Według niego, nie było dla Antei ratunku, kto bowiem ujrzał Hekate, musiał umrzeć.

Wówczas Cinna, który przed niedawnym jeszcze czasem byłby się śmiał z wiary w Hekate, ofiarował jej hekatombę. Ale ofiara nie pomogła i następnego dnia posępne oczy spoglądały znów o południu na Anteę.

Próbowano zasłaniać jej głowę, lecz ona widziała trupią twarz nawet przez najgrubsze zasłony. Gdy była zamknięta w ciemnej izbie, twarz spoglądała na nią ze ścian, rozświecając ciemność swym bladym, trupim blaskiem.

Wieczorami bywało chorej lepiej. Wówczas zapadała w taki sen, że i Cinnie, i Tymonowi wydawało się nieraz, iż się z niego nie obudzi więcej. Wkrótce zasłabła tak, iż nie mogła chodzić o własnej mocy. Noszono ją w lektyce.

Dawny niepokój Cinny wrócił ze stokroć większą mocą i ogarnął go całkowicie. Był w nim strach o życie Antei, ale było zarazem dziwne poczucie, że choroba jej stoi w jakimś tajemniczym związku z tym wszystkim, o czym mówił Cinna w pierwszej szczerzej rozmowie z Tymonem. Być może, że stary mędrzec myślał to samo, ale Cinna nie chciał i bał się go o to zapytać. Tymczasem chora wędła jak kwiat, w którego kielichu zagnieździ się pajak jadowity.

Cinna jednak, wbrew nadziei, ratował ją rozpaczliwie. Naprzód wywiózł ją na pustynie w pobliżu Memfis, lecz gdy pobyt w ciszy piramid nie uwolnił jej od strasznych widzeń, wrócił do Aleksandrii i otoczył ją wróżbitami, czarownikami zamawiającymi chorobę i wszelkiego rodzaju bezczelną zgrają, która wyzyskiwała za pomocą cudownych leków ludzką łatwowierność. Ale on już nie miał wyboru i chwycił się wszelkich środków.

W tym czasie przyjechał z Cezarei do Aleksandrii sławny lekarz Żyd, Józef syn Khuzy. Cinna sprowadził go natychmiast do żony – i przez chwilę nadzieja wróciła do jego serca. Józef, który nie wierzył w greckie i rzymskie bogi, odrzucił z pogardą mniemanie o Hekacie. Przypuszczał, że to raczej demony opętały chorą i radził opuścić Egipt, gdzie oprócz demonów także i wyziewy błotnistej Deltę mogły szkodzić jej zdrowiu. Radził też, może dlatego, że sam był Żydem, udać się do Jerozolimy, jako do miasta, do którego demony nie mają przystępu i w którym powietrze jest suche i zdrowe.

Cinna tym chętniej poszedł za jego radą, że naprzód nie było już innej, a po wtóre, że Jerozolimą rządził znajomy mu prokurator, którego przodkowie byli niegdyś klientami domu Cinnów.

Jakoż, gdy przybyli, prokurator Pontius przyjął ich z otwartymi rękoma i oddał im na mieszkanie własny dom letni, leżący w pobliżu murów. Ale nadzieja Cinny rozchwiała się jeszcze przed przybyciem. Trupia twarz patrzyła na Anteę nawet na pokładzie galery – po przyjeździe zaś na miejsce chora oczekiwała południowej godziny z taką samą śmiertelną trwogą, jak niegdyś w Aleksandrii.

I tak im poczęły schodzić dni w pogębieniu, lęku, rozpaczki i oczekiwaniu śmierci.

VI

W atrium, mimo fontanny, cienistego portyku i wczesnej godziny, było ogromnie gorąco, bo marmur rozpalili się od wiosennego słońca, ale opodal od domu rosła stara i rozłożysta pistacja, zacieniająca dokoła znaczną przestrzeń. Przewiew, jako w miejscu otwartym, był tam także daleko większy, tam więc Cinna kazał postawić przybraną w hiacynty i kwiat jabłoni lektykę, w której spoczywała Antea. Następnie siadłszy przy niej położył dłoń na jej białych jak alabaster rękach i spytał:

– Dobrze ci tu, *carissima*?

– Dobrze – odpowiedziała zaledwie dosłyszalnym głosem.

I przymknęła oczy, jakby ją ogarniał sen. Nastąpiło milczenie; tylko powiew poruszał z szelestem gałązkami pistacji, a na ziemi wokół lektyki migotały złote plamki od promieni, przedzierających się przez liście – szarańcze sykały między kamieniami.

Chora otworzyła po chwili oczy.

– Kaju – rzekła – czy prawda, że w tej ziemi zjawił się filozof, który uzdrawia chorych?

– Oni tu takich prorokami zowią – odpowiedział Cinna. – Słyszałem o nim i chciałem go wezwać do ciebie, ale okazało się, iż to był fałszywy cudotwórca. Błędził on przy tym przeciw tutejszej świątyni i zakonowi tej ziemi, przeto prokurator wydał go na śmierć i dziś właśnie ma być ukrzyżowany.

Antea spuściła głowę.

– Ciebie wyleczy czas – rzekł Cinna widząc smutek, który odbił się na jej twarzy.

– Czas jest w usługach śmierci, nie życia – odpowiedziała z wolna.

I znowu nastąpiło milczenie, naokół migotały ciągle złote plamki; szarańcze sykały jeszcze głośniejsze, a ze szpar skalnych powysuwały się na głazy małe jaszczurki, szukające miejsc słonecznych.

Cinna spoglądał od czasu do czasu na Anteę i po raz tysięczny przelatywały mu przez głowę rozpaczliwe myśli, że wszystkie środki ratunku wyczerpane, że nie ma ani iskry nadziei i że wkrótce ta kochana postać stanie się tylko cieniem znikomym i garstką prochu w kolumbarium.

Teraz już, leżąc z przymkniętymi oczyma w przybranej kwieciem lektyce, wyglądała jak martwa.

– Pójdę i ja za tobą! – powtarzał sobie w duchu Cinna.

Wtem w oddali dały się słyszeć czyjeś kroki. Twarz Antei stała się natychmiast biała jak kreda, wpółotwarte jej usta oddychały pośpiesznie, pierś poczęła się podnosić szybkim ruchem. Nieszczęsna męczennica była pewna, że to ów orszak niewidzialnych istot, poprzedzający zjawienie się trupa o szkła-

nych oczach, zbliża się już ku niej. Lecz Cinna, chwyciwszy jej rękę, począł ją uspokajać:

– Anteo, nie lękaj się, te kroki słyszę i ja.

A po chwili dodał:

– To Pontius przychodzi do nas.

Rzeczywiście, na zakręcie ścieżki ukazał się prokurator w towarzystwie dwóch niewolników. Był to niemłody człowiek, o twarzy okrągłej wygolonej starannie, pełnej sztucznej powagi, a zarazem troski i zmęczenia.

– Pozdrowienie ci, szlachetny Cinno, i tobie, boska Anteo! – rzekł wchodząc pod cień pistacji. – Otóż po zimnej nocy dzień uczynił się znojny: oby był pomyślny dla was obojga i oby zdrowie Antei zakwitło, jako te hiacynty i te gałązki jabłoni, które zdobią jej lektykę.

– Pokój z tobą i witaj! – odrzekł Cinna.

Prokurator, siadłszy na odłamie skały, popatrzał na Anteę, zmarszczył nieznacznie brwi – i ozwał się:

– Samotność rodzi smutek i chorobę, a wśród tłumów nie ma miejsca na przestkach, więc dam wam jedną radę. Na nieszczęście, tu nie Antiochia ani Cezarea, nie ma tu igrzysk i wyścigów, a gdyby cyrk stanął, to by go ci zapaleńcy zburzyli na drugi dzień. Tu słyszysz tylko słowo: „zakon” – a temu „zakonowi” wszystko zawadza. Wolałbym być w Scytii niż tu...

– O czym chcesz mówić, Pilacie?

– Istotnie odszedłem od rzeczy. Ale to troski tego powodem. Mówiłem, że wśród tłumów nie ma miejsca na strach. Otóż możecie dziś mieć widowisko. W Jerozolimie trzeba się byle czym zadowalać, przede wszystkim zaś trzeba, żeby w południe Antea była wśród tłumów. Dziś umrze na krzyżu trzech ludzi. Lepsze to niż nic. Przy tym z powodu Paschy napłynęła do miasta zgraja najdziwaczniejszych drapichrustów z całego tego kraju. Możecie się przypatrzyć temu ludowi. Każę wam dać wyborne miejsce w pobliżu krzyżów. Mam nadzieję, że skazani będą umierali odważnie. Jeden z nich dziwny człowiek; powiada się być Synem Bożym, jest słodki jak gołąb i naprawdę nie popełnił nic takiego, przez co by zasłużył na śmierć.

– I skazałeś go na krzyż?

– Chciałem się zbyć kłopotu, a zarazem nie poruszać tego gniazda os, które brzęczą naokół świątyni. Oni i tak ślą na mnie skargi do Rzymu. Zresztą, przecie nie o obywatela rzymskiego chodzi.

– Ów człowiek nie będzie dlatego mniej cierpiał.

Prokurator nie odpowiedział – i po chwili począł mówić jakby do siebie:

– Jedna jest rzecz, której nie znoszę, to przesada. Kto przy mnie wymówi ten wyraz, odbiera mi wesołość na cały dzień. Złoty środek! oto czego, według mnie, roztropność nakazuje się trzymać. A nie ma kąta na świecie, w którym by tej zasady trzymano się mniej niż tu. Jak mnie to wszystko męczy! jak mnie męczy! W niczym spokoju, w niczym równowagi... ani w ludziach, ani w przyrodzie... Teraz na przykład wiosna, noce chłodne – a we dnie taki żar, że po kamieniach stąpać trudno. Do południa jeszcze daleko, a patrzcie – co się dzieje! Co zaś do ludzi, lepiej nie mówić! Jestem tu, bo muszę. Mniejsza o to! Znowu bym odszedł od rzeczy. Idźcie zobaczyć ukrzyżowanie. Jestem pewien, że ów Nazarejczyk będzie umierał odważnie. Kazałem go chłostać, myśląc, że tym sposobem ochronię go od śmierci. Nie jestem okrutnikiem. Gdy go bito, cierpliwym był jak jagnię i błogosławił ludziom. Gdy

spłynął krwią, wznosił oczy do góry i modlił się. To najdziwniejszy człowiek jakiego w życiu widziałem. Żona nie dała mi z jego powodu ni chwili spokoju. „Nie dopuść do śmierci niewinnego!” – oto, co od świtu kładła mi w uszy. Chciałem. Dwukrotnie wstępowałem na bime i przemawiałem do tych zaciekłych kapłanów i do tej parszywej tłuszczy. Odpowiadali mi jednym głosem, przewracając w tył głowy i rozdzierając szczęki aż do uszu: „Ukrzyżuj!”

– Ty zaś ustąpiłeś? – rzekł Cinna.

– Bo w mieście byłyby rozruchy, a jam tu od tego, by utrzymać spokój. Muszę spełniać mój obowiązek. Nie lubię przesady, i przy tym jestem zmęczony śmiertelnie, ale gdy się raz czegoś podejmę, nie zawaham się poświęcić dla ogólnego dobra życia jednego człowieka, zwłaszcza jeśli to jest człowiek nieznany, o którego nikt się nie upomni. Tym gorzej dla niego, że nie jest Rzymianinem.

– Słońce nie tylko nad Rzymem świeci – szepnęła Antea.

– Boska Anteo – odparł prokurator – mógłbym ci odpowiedzieć, że na całym okręgu ziemi przyświeca ono rzymskiej władzy, zatem dla jej dobra wszystko należy poświęcić, a rozruchy podkopują naszą powagę. Ale przede wszystkim błagam cię: nie żądaj ode mnie, bym zmienił wyrok. Cinna także ci powie, że to nie może być i że gdy wyrok raz wydany, chyba sam cesarz mógłby go zmienić. Ja, choćbym chciał – nie mogę. Nieprawda, Kajuz?

– Tak jest.

Lecz Antei słowa te sprawiły widoczną przykrość, rzekła bowiem, myśląc może o sobie:

– Tak więc można cierpieć i umrzeć bez winy.

– Nikt nie jest bez winy – odpowiedział Pontius. – Ów Nazarejczyk nie popełnił żadnej zbrodni, więc też jako prokurator umyłem ręce. Ale jako człowiek potępiam jego naukę. Rozmawiałem z nim umyślnie dość długo, chcąc go wy badać, i przekonałem się, że głosi rzeczy niesłychane. To trudno! Świat musi stać na rozsądku. Któż przeczy, że cnota jest potrzebna?... Pewnie nie ja. Ale nawet stoicy uczą tylko, by przeciwności znosić z pogardą, nie wymagają zaś, by się wyrzec wszystkiego, poczynawszy od majątku aż do obiadu. Powiedz, Cinno – ty jesteś rozsądny człowiek – co byś o mnie pomyślał, gdybym ten dom, w którym mieszkacie, oddał ni z tego, ni z owego tym oto obdartusom, którzy tam wygrzewają się na słońcu, przy Jopejskiej bramie? A on właśnie takich rzeczy wymaga. Głosi przy tym, że wszystkich należy równo kochać; Żydów tak samo jak Rzymian, Rzymian jak Egipcjan, Egipcjan jak Afrów i tak dalej. Przyznam się, że miałem tego dosyć. W chwili gdy idzie o jego życie, zachowuje się jakby szło o kogo innego, naucza – i modli się. Nie mam obowiązku ratować kogoś, co sam o to nie dba. Kto nie umie w niczym miary zachować, nie jest człowiekiem roztropnym. Przy tym on zowie się Synem Bożym i burzy zasady, na których świat się wspiera, a zatem szkodzi ludziom. Niech sobie w duszy, co chce, myśli – byle nie burzył. Jako człowiek, protestuję przeciw jego nauce. Jeśli ja nie wierzę, dajmy na to, w bogi, to moja rzecz. Jednakże uznaję potrzebę religii i publicznie to głoszę, albowiem sądzę, że dla ludzi religia jest wędzidłem. Konie muszą być zaprzężone, i dobrze zaprzężone. Zresztą takiemu Nazarejczykowi śmierć nie powinna być straszna, twierdzi bowiem, że zmartwychwstanie.

Cinna i Antea spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Że zmartwychwstanie?

– Ni mniej, ni więcej: po trzech dniach. Tak przynajmniej głoszą jego uczniowie. Samego zapomniałem zapytać. Wreszcie to wszystko jedno, bo śmierć uwalnia od obietnic. A gdyby i nie zmartwychwstał, nic na tym nie straci, gdyż wedle jego nauki prawdziwe szczęście, wraz z życiem wiecznym, zaczyna się dopiero po śmierci. Mówi o tym istotnie jak człowiek zupełnie pewny. W jego Hadesie widniej niż w podślonecznym świecie, a im kto więcej tu cierpi, tym pewniej tam wejdzie; powinien tylko kochać, kochać i kochać.

– Dziwna nauka – rzekła Antea.

– A tamci wołali na cię: „Ukrzyżuj!”? – spytał Cinna.

– I nawet się nie dziwię. Duszą tego ludu jest nienawiść, któż zaś, jeśli nie nienawiść, ma wołać o krzyż dla miłości.

Antea potarła czoło wychudłą ręką.

– I On jest pewnym, że można żyć i być szczęśliwym – po śmierci?

– Dlatego nie straszy go krzyż ni śmierć.

– Jakby to było dobrze, Cinno!...

Po chwili znów spytała:

– Skąd On wie o tym?

Prokurator machnął ręką:

– Powiada, że to wie od Ojca wszystkich ludzi, który dla Żydów jest tym, czym dla nas Jowisz, z tą różnicą, że według Nazarejczyka jest On jeden, jedyny i miłosierny.

– Jakby to było dobrze, Kaju! – powtórzyła chora.

Cinna otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale umilkł – rozmowa ustała. Pontius rozmyślał widocznie w dalszym ciągu nad dziwną nauką Nazarejczyka, albowiem kręcił głową i wzruszał co chwila ramionami.

Wreszcie wstał i począł się żegnać.

Nagle Antea rzekła:

– Kaju, pójdzmy zobaczyć tego Nazarejczyka.

– Śpieszcie się – rzekł odchodząc Piłat – pochód wkrótce wyruszy.

VII

Dzień, od rana znojny i pogodny, począł się około południa zachmurzać, od północo-wschodu napływały obłoki ciemne lub miedziane, niezbyt rozległe, ale zawałne, jakby brzemienne burzą. Między nimi widać było jeszcze głęboki błękit, ale łatwo było przewidzieć, że wkrótce zbiegną się i przesłonią cały niebieski widnokrąg. Tymczasem słońce obrzucało ich zręby ogniem i złotem. Nad samym miastem i przyległymi wzgórzami rozciągał się jeszcze szeroki szmat pogodnego nieba i na dole nie było żadnego wiatru.

Na wysokiej płaszczynie, zwanej Golgotą, stały już tu i ówdzie małe gromadki ludzi, które uprzedziły pochód, mający wyruszyć z miasta. Słońce rozświetlało szerokie kamienne przestrzenie, puste, jałowe i smutne. Jednostajną perłową ich barwę przerywała tylko czarna sieć rozpadlin i załamań, tym czarniejsza, im bardziej sama płaszczyna była zalana światłem. W dali widać było wynioślejsze wzgórza, równie puste, przysłonione błękitną mgłą oddalenia.

Niżej, między murami miasta a płaskowzgórzem Golgoty, leżała równina, spiętrzona gdzieśgdzie skałami, mniej pusta. Tam ze szczelin, w których zebrało się nieco urodzajnej ziemi, wyglądały figi, o liściu rzadkim i ubogim.

Tu i ówdzie wznosiły się budowle o płaskich dachach, poprzyklepane na kształt gniazd jaskółczych do kamiennych ścian, lub, świecąc z dala w słońcu, biało malowane groby. Obecnie, z powodu bliskich świąt i napływu mieszkańców prowincji do miasta, powznoszono bliżej murów mnóstwo szałasów i namiotów, które tworzyły całe obozowiska, pełne ludzi i wielbłądów.

Słońce wznosiło się coraz wyżej na nie pokrytej dotąd chmurami przestrzeni nieba. Zbliżały się godziny, w których zazwyczaj panowało na tych wyżynach głucho milczenie, bowiem żywe istoty szukały ochrony w murach lub rozpadlinach. A nawet i obecnie, mimo niezwykłego ożywienia, tkwił jakiś smutek w tej okolicy, w której olśniewający blask padał nie na zieleni, ale na szare rozłogi kamienne. Gwar dalekich głosów, dochodzący od strony murów, zmienił się jakby w szmer fali i zdawał się być pochłanianym przez ciszę.

Pojedyncze gromadki ludzi, wyczekujące od rana na Golgocie, zwracały głowy ku miastu, skąd pochód miał lada chwila wyruszyć. Lektyka z Antea nadeszła, poprzedzana przez kilku żołnierzy dodanych przez prokuratora, którzy mieli torować drogę wśród, ścisku, a w danym razie powstrzymać nienawidzące cudzoziemców i fanatyczne tłumy od zniewag. Obok lektyki postępował Cinna w towarzystwie setnika Rufila.

Antea była jakby spokojniejsza i mniej przerażona tym, że zbliżało się południe, a zarazem groźba strasznych widzeń, które wysysały z niej życie. To, co prokurator mówił o młodym Nazarejczyku, porwało jej umysł i odwróciło uwagę od własnej nędzy. Było bowiem dla niej w tym coś dziwnego, czego prawie nie umiała zrozumieć. Świat ówczesny widział wielu ludzi, którzy umierali tak spokojnie, jak gaśnie stos pogrzebowy, w którym drwa się wypala. Ale był to spokój, płynący z odwagi lub filozoficznej zgody na nieubłaganą konieczność zamiany światła na ciemność, rzeczywistego życia na jakiś byt mglisty, nikły i nieokreślony. Nikt nie błogosławił dotąd śmierci, nikt nie umierał z niezachwianą pewnością, że dopiero poza stosem lub grobem zaczyna się prawdziwe istnienie i szczęście tak potężne i tak nieskończone, jakie tylko istota wszechmocna i nieskończona dać może.

Ów zaś, którego miano ukrzyżować, głosił to jako niewątpliwą prawdę. Antea nie tylko uderzyła ta nauka, ale wydała się jedynym źródłem otuchy i nadziei. Wiedziała, że musi umrzeć – i zdejmował ją żal niezmierny. Czymże bowiem była dla niej śmierć? Oto porzuceniem Cinny, porzuceniem ojca, porzuceniem światła, kochania, pustką, zimnem, na wpół nicością, mrokiem. Więc im lepiej mogło być jej w życiu, tym jej żal musiał być większy. Gdyby śmierć mogła się na coś przydać albo gdyby można wziąć z sobą choć wspomnienie z miłości, choć pamięć szczęścia – prędzej by zdobyła się na rezygnację.

Wtem, nie spodziewając się od śmierci niczego, usłyszała nagle, że ona może jej dać wszystko. I kto to głosił? Jakiś dziwny człowiek, nauczyciel, prorok, filozof, który nakazywał ludziom miłość jako najwyższą cnotę, który błogosławił im w chwili chłosty i którego miano ukrzyżować. Więc Antea myślała: „Dlaczego by tak nauczał, skoro krzyż mu jedyną zapłatą? Inni pragnęli władzy – On jej nie chciał, inni mienia – On pozostał ubogim; inni pałaców, uczt, zbytków, purpurowej odzieży, wykładanych perłowcem i kością słoniową wozów – On żył jak pasterz. Przy tym zalecał miłość, litość, ubóstwo, nie mógł więc być złym i ludzić umyślnie ludzi. Jeżeli zaś mówił praw-

dę – w takim razie niech będzie błogosławiona śmierć, jako koniec ziemskiej nędzy, jako zmiana gorszego szczęścia na lepsze, jako światło dla gasnących oczu i jako skrzydła, którymi się odlatuje w wieczystą radość!” Teraz Antea zrozumiała, co znaczyła zapowiedź zmartwychwstania.

Umysł i serce biednej chorej przyłgnęły całą siłą do tej nauki. Przypomniała sobie też słowa ojca, który niejednokrotnie powtarzał, że tylko jakaś nowa prawda może wydobyć umęczoną duszę ludzką z pomroku i więzów. A oto była nowa prawda! Zwyciężyła ona śmierć, więc niosła zbawienie. Antea utonęła tak całą swą istotą w tych myślach, że od wielu i wielu dni Cinna po raz pierwszy nie dostrzegł w jej twarzy trwogi przed nadchodzącą południową godziną.

Pochód wreszcie ruszył z miasta ku Golgocie – i z wyżyny, na której stała Antea, widać go było doskonale. Tłum był znaczny, ale jednak zdawał się – ginać na tych obszarach kamiennych. Z otwartej bramy miasta wysypywało się coraz więcej ludzi, a po drodze przyłączali się do nich ci, którzy oczekiwali za murami. Szli początkowo długim korowodem, który rozlewał się jak wezbrana rzeka, w miarę jak postępowali naprzód. Po bokach uganiały się roje dzieci. Pochód mienił się i pstrzył od białych opończy, od szkarłatnych i błękitnych chust kobiecych. W środku połyskiwały zbroje i dzidy żołnierzy rzymskich, na które blask słoneczny rzucał jakby latające promienie. Wrzawa zmieszanych głosów dochodziła z daleka i stawała się coraz wyraźniejszą.

Na koniec zbliżyli się zupełnie – i pierwsze szeregi poczęły występować na wzniesienie. Tłum śpieszył się, by zająć najbliższe miejsca i widzieć jak najdokładniej mękę, skutkiem czego oddział kołnierzy prowadzący skazanych pozostawał coraz bardziej z tyłu pochodu. Pierwsze przybyły dzieci, przeważnie chłopcy, półnaczy, poprzewiazywani szmatami w biodrach, z wystrzyżonymi głowami, prócz dwóch pęków włosów przy skroniach – smagli, o żrenicach prawie błękitnych i wrzaskliwej mowie. Wśród dzikiej wrzawy poczęli oni wydrapywać ze szczelin zwietrzałe okruchy skalne, którymi chcieli rzucać na ukrzyżowanych. Tuż po nich wzniesienie zaroilo się od różnorakiej tłuszczy. Twarze były po największej części rozpalone ruchem i nadzieją widowiska. Na żadnej nie było śladu litości. Krzykliwość głosów, niezmierna ilość słów wyrzucanych przez każde usta, nagłość ruchów dziwiła Anteę, jakkolwiek przywykła w Aleksandrii do gadatliwej żywości greckiej. Ludzie rozmawiali tu z sobą, jakby się chcieli na siebie rzucić; nawoływali się, jakby szło o ich ratunek, spierali się, jakby ich odzierano ze skóry.

Centurion Rufilus, zbliżywszy się do lektyki, dawał wyjaśnienia głosem spokojnym, służbowym, a tymczasem z miasta napływały coraz nowe fale. Ścisk powiększał się z każdą chwilą. W tłumie widać było zamożnych mieszkańców Jerozolimy przybranych w pasiaste opończe, trzymających się z dala od nędznej hołoty z przedmieść. Napłynęli licznie i wieśniacy, których święta sprowadziły wraz z rodzinami do miasta; rolnicy poprzepasywani workami i pasterze o twarzach dobrotliwych i zdziwionych, przybrani w skóry kozie. Tłumy kobiet ciągnęły razem z mężczyznami, lecz że możniejsze mieszcanki nierade wychodziły z domu, były to przeważnie kobiety z ludu, wieśniaczki lub przybrane jaskrawo ulicznice, o farbowanych włosach, brwiach i paznokciach, pachnące z daleka nardem, z olbrzymimi zausznicami i w naszyjnikach z monet.

Nadciągnął wreszcie i Sanhedryn – a wśród niego Hanaan, starzec z twarzą sępa i z oczyma w krwawych obwódkach, oraz ocieślały Kajafa, przybrany w dwurożną czapkę, z pozłocistą tablicą na piersiach. Razem z nimi szli różni faryzeusze, jak to: w l o k a c y

n o g i , którzy umyślnie potracali stopami o wszystkie przeszkody, faryzeusze o k r w a w y c h c z o ł a c h , również umyślnie rozbijający je o mury, i faryzeusze z g a r b i e n i , niby gotowi do przyjęcia ciężaru grzechów całego miasta na swe ramiona. Posępna powaga i zimna zaciekłość różniła ich od zgiełkliwej zgrai pospolitego ludu.

Cinna przyglądał się tej ciżbie ludzkiej z chłodną i pogardliwą twarzą człowieka należącego do rasy panującej, Antea – ze zdziwieniem i obawą. Wielu Żydów zamieszkiwało Aleksandrię, ale tam byli oni na wpół Hellenami, tu zaś po raz pierwszy widziała ich takimi, jakimi przedstawiał ich prokurator i jakimi byli w swym własnym gnieździe. Jej młoda twarz, na której śmierć wycisnęła już swe piętno, jej do cienia podobna postać zwracały powszechną uwagę. Przypatrywano jej się natrętnie, o ile pozwalali na to otaczający lektykę żołnierze; tak wielką była jednak tu pogarda i nienawiść dla obcych, że w żadnych oczach nie było widać współczucia, raczej połykiwała w nich radość, że ofiara nie ujdzie śmierci. Antea teraz dopiero zrozumiała dokładnie, dlaczego ci ludzie wołali o krzyż dla proroka, który opowiadał miłość.

I ów Nazarejczyk wydał się jej nagle kimś tak bliskim, że niemal drogim. On musiał umrzeć – i ona również. Jego, po wydanym wyroku, już nic nie mogło ocalić – i na nią wyrok zapadł – więc zdawało się Antei, że ich łączyło braterstwo niedoli i śmierci. Tylko On szedł na krzyż z wiarą w pośmiertne jutro, ona tej wiary dotąd nie miała i przyszła jej zaczerpnąć w Jego widoku.

Tymczasem z dala rozległa się wrzawa, świst, wycie, po czym wszystko ucichło. Dał się słyszeć chrzęst broni i ciężki krok legionistów. Tłumy zakłótyły się, rozstały, i oddział prowadzący skazanych począł przesuwając się koło lektyki. Z przodu, po bokach i z tyłu szli równym i powolnym krokiem żołnierze, w środku widać było trzy przecznice krzyżów, które zdawały się same postępować, nieśli je bowiem ludzie zgarbieni pod ciężarem. Łatwo było odgadnąć, że między tymi trzema nie ma Nazarejczyka, dwaj bowiem mieli bezczelne twarze opryszków, trzecim był niemłody prosty wieśniak, którego widocznie żołnierze zmusili do zastępstwa. Nazarejczyk szedł za krzyżami, mając blisko za sobą dwóch żołnierzy. Szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie; spod której kolców wydobywały się krople krwi. Jedne ściekały mu z wolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną, w kształt jagód dzikiej róży lub koralowych paciorków. Błady był, posuwał się z wolna chwiejnym, osłabionym krokiem. Szedł wśród uragowiska ciżby, jakby w zaświatowym zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby nie baczący na okrzyki nienawiści lub jakby nad miarę ludzkich przebaczeń przebaczący i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie zło wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

– Prawdą jesteś – wyszeptala drżącymi ustami Antea.

Orszak przesunął się teraz tuż koło lektyki. Była nawet chwila; że się zatrzymał, podczas gdy idący na przedzie żołnierze oczyszczali z ciżby drogę.

Antea widziała teraz Nazarejczyka o kilka kroków: widziała, jak powiew poruszał zwoje jego włosów, widziała czerwony odbłask, padający od płaszcza Jego na wybladłą i przezroczystą twarz. Tłuszcza, rwąc się ku Niemu, otoczyła teraz ciasnym półkolem żołnierzy tak, że musieli uczynić z włóczni zaporę, by Go bronić przed jej wściekłością. Wszędy widać było wyciągnięte ramiona z zaciśniętymi pięściami, oczy wychodzące z powiek, połyskujące zęby, brody rozchwiane od wściekłych ruchów i usta w pianie, wyrzucające chrapliwe okrzyki. On zaś, spojrzawszy naokół, jakby się chciał spytać: „Com wam uczynił?” – podniósł następnie oczy ku niebu i modlił się – i przebaczał.

– Anteo! Anteo! – zawołał w tej chwili Cinna.

Lecz Antea zdawała się nie słyszeć jego wołania. Z oczu płynęły jej wielkie łzy, zapomniała o chorobie, zapomniała, że już od wielu dni nie podnosiła się z lektyki i powstawszy nagle drżąca, na wpół przytomna z żalu, litości i z oburzenia na ślepe okrzyki ciżby, poczęła chwytac hiacynty i kwiat jabłoni i rzucać pod stopy Nazarejczyka.

Na chwilę uczyniło się cicho. Tłum ogarnęło podziwienie na widok tej dostojnej Rzymianki, oddającej cześć skazanemu. On zwrócił oczy na jej biedną chorą twarz i usta Jego poczęły się poruszać, jakby ją błogosławił. Antea, opadłszy znów na poduszki lektyki, czuła, że spływa na nią morze światła, dobroci, miłosierdzia, otuchy, nadziei, szczęścia, i wyszeptala znowu:

– Tyś jest Prawdą.

Potem nowa fala łez napłynęła jej do oczu.

Lecz Jego popchnięto naprzód, na odległe o kilkadziesiąt kroków od lektyki miejsce, na którym stały już wbite w rozpadliny skał słupy krzyżów. Tłum przesłonił Go znowu, lecz że miejsce owo było znacznie wyniesione, Antea ujrzała znów niebawem Jego bladą twarz i cierniową koronę. Legioniści zwrócili się raz jeszcze ku tłuszczy i odegнали ją kijami dość daleko, by nie przeszkadzała egzekucji. Poczęto teraz przywiązywać dwóch opryszków do bocznych krzyżów. Trzeci krzyż stał w pośrodku z białą kartą, przybitą ćwiekiem na wierzchołku, którą podnosił i szarpał wzmagający się coraz wiatr. Gdy żołnierze zbliżywszy się wreszcie do Nazarejczyka, jęli Go rozbierać z odzieży, w tłumie zagrzmiały okrzyki: – Król, król! nie daj się, królu! gdzie twoje zastępy? broń się!

Chwilami wybuchał śmiech, który porywał tłuszcze, tak że nagle cała kamienna wyżyna rozbrzmiewała jednym chichotem. Jego tymczasem rozciągnięto na wznak na ziemi, aby Mu ręce przybić do przecznicy krzyża, potem zaś podciągnąć Go wraz z nią na słup główny.

Wtem jakiś człowiek, stojący niedaleko lektyki i przybrany w białą simarę, rzucił się nagle na ziemię, zgarnął na głowę pył i okruchy kamienne i począł krzyczeć okropnym, pełnym rozpaczny głosem: – Byłem trędowaty – uzdrowił mnie – przecz Go krzyżują!?

Antei twarz zbieleła jak chusta.

– On go uzdrowił... słyszysz, Kaju? – rzekła.

– Czy chcesz wrócić? – spytał Cinna.

– Nie! Tu zostanę!

A Cinnę ogarnęła, jak wicher, dzika i bezbrzeżna rozpacz, że nie wezwał Nazarejczyka do swego domu, by mu uzdrowił Antee.

Ale w tej chwili żołnierze, przyłożywszy ćwieki do Jego rąk, poczęli w nie uderzać. Dał się słyszeć tępy szcęk żelaza o żelazo, który wnet zmienił się w donioślejszy brzącający rozgłos, gdy ostrza gwoździ, przeszedłszy przez ciało, zagłębiły się w drzewo. Tłumy uciszyły się znów, prawdopodobnie dlatego, by napawać się krzykami, jakie męczarnia mogła wydrzeć z ust Nazarejczyka. Ale On pozostał cichy i na wyżynie rozległy się tylko złowrogie i straszne uderzenia młotów.

Wreszcie skończono robotę i przecznicę wraz z ciałem podciągnięto ku j i górze. Pilnujący roboty setnik wymawiał, a raczej śpiewał jednostajnym głosem słowa komendy, wedle której jeden z żołnierzy począł następnie przygwałdząć nogi.

Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrąg, przysłoniły słońce. Odległe wzgórza i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchnął. Złowrogi, miedziany mrok ogarnął okolicę i, w miarę jak słońce zasunęło się głębiej za zwały chmur, gęstniał coraz bardziej. Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwona ciemność, gorący wiatr uderzył raz i drugi, potem ścichł. Powietrze stało się parne.

Nagle i owe resztki rudawych blasków szerniały. Posępne jak noc chmury poczęły się przewracać i posuwać na kształt olbrzymiego wału ku wyżynie i miastu. Szła burza. Świat napełnił się niepokojem.

– Wracajmy! – rzekł znów Cinna.

– Jeszcze, jeszcze chcę Go widzieć! – odpowiedziała Antea.

Ponieważ mrok przesłonił wiszące ciała, Cinna kazał zanieść lektykę bliżej do miejsca męki. Przysunęli się tak blisko, że zaledwie kilka kroków dzieliło ich od krzyża. Na ciemnym drzewie widać było ciało Ukrzyżowanego, które w tym powszechnym zaćmieniu wydawało się jakby ze srebrnych promieni księżycy utkane. Pierś Jego podnosiła się szybkim oddechem. Głowę i oczy trzymał jeszcze zwrócone ku górze.

Wtem w głębiach chmur ozwał się głuchy pomruk. Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył się ze strasliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, w końcu huknął jak grom, aż ziemia zatrzęsła się w posadach.

Jednocześnie olbrzymia sina błyskawica rozdarła chmury, rozświetliła niebo, ziemię, krzyże, zbroje żołnierzy i zbitą jak stado owiec tłuszcę, niepokojną i trwożną.

Po błyskawicy zapadła jeszcze grubsza ciemność. W pobliżu lektyki ozwały się łkania jakichś kobiet, które również zbliżyły się do krzyża. Było coś przerażającego w tym łkaniu wśród ciszy. Ci, którzy pogubili się w tłumie, poczęli się teraz nawoływać. Tu i ówdzie ozwały się przerażone głosy;

– Ojah! oj lanu! zali nie Sprawiedliwego ukrzyżowano!?

– Który dawał świadectwo prawdzie! Ojah!

– Który wskrzeszał zmarłe. Ojah!

A inny głos zawołał:

– Biada ci, Jeruzalem!

Inny znów:

– Ziemia zadrżała!

Druga błyskawica odkryła głębie nieba i ukazała w nich jakby olbrzymie ogniste postacie. Głosy ucichły, a raczej zginęły w poświstach wichru, który

zerwał się nagle z olbrzymią siłą, zdarł mnóstwo chust, opończy i począł rzucać nimi po wyżynie.

Głosy poczęły znów wołać:

– Ziemia zadrżała!

Niektórzy jęli uciekać. Innych trwoga przykuła do miejsca – i ci stali w osłupieniu, bez myśli, z tym mętym wrażeniem tylko, że stało się coś strasznego.

Lecz mrok począł nagle rzednąć. Wicher przewracał chmury, skręcał je i szarpał jak zetlałe szmaty. Jasność wzrastała stopniowo, na koniec ciemny strop rozdarł się i przez szczelinę lunął potok słonecznego światła: wnet rozwidniła się wyżyna, zalęknione twarze ludzkie i krzyże.

Głowa Nazarejczyka opadła nisko na piersi, blada, jakby woskowa; powieki miał zamknięte i zsiniałe usta.

– Umarł – szepnęła Antea.

– Umarł – powtórzył Cinna.

W tej chwili centurion sięgnął włócznią do boku zmarłego. Dziwna rzecz: powrót światła i widok tej śmierci zdawał się uspokajać tłumy. Przysuwały się one teraz coraz bliżej, zwłaszcza że żołnierze nie bronili już przystępu. Wśród czerni ozwały się głosy:

– Zejdź z krzyża! Zejdź z krzyża!

Antea raz jeszcze rzuciła oczyma na tę bladą, zwieszoną głowę, po czym ozwała się cicho, jakby sama do siebie:

– Zali zmartwychpowstanie?...

Wobec śmierci, kładnącej błękitne piętna na Jego oczy i usta, wobec tych wyciągniętych nad miarę ramion, wobec tego nieruchomego ciała, które już osunęło się ku dołowi ciężarem rzeczy martwych, głos jej drgał rozpaczliwym zwątpieniem.

Nie mniejsze zmartwienie targało i duszą Cinny. On również nie wierzył, że Nazarejczyk zmartwychpowstanie, ale wierzył, że gdyby żył, On jeden mógłby złą lub dobrą swą mocą uzdrowić Anteę.

A tymczasem coraz liczniejsze głosy wołały naokół:

– Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

– Zejdź – powtórzył z rozpaczą w duchu Cinna – uzdrów mi ją, a zabierz duszę moją!

Wypogadzało się coraz bardziej. Wzgórza były jeszcze we mgle, ale nad wyżyną i miastem niebo oczyściło się zupełnie. „Turrus Antonia” błyszcziała w słońcu, jaśniejąc sama na kształt słońca. Powietrze uczyniło się świeże i rojne od jaskółek. Cinna dał rozkaz odwrotu.

Godzina była popołudniowa. W pobliżu domu Antea rzekła nagle:

– Hekate nie przyszła dziś.

Cinna także myślał o tym.

VIII

Widmo nie ukazało się i nazajutrz. Chora była ożywiona niezwykle, albowiem przyjechał z Cezarei Tymon, który, niespokojny o życie córki i przerażony listami Cinny, porzucił przed kilku dniami Aleksandrię, aby raz jeszcze zobaczyć przed śmiercią jedyne dziecko. Do serca Cinny poczęła znów kołatać nadzieja, jakby upominając się, by ją wpuścił. Lecz on nie śmiał ode-

mknąć drzwi temu gościowi, nie śmiał się spodziewać. W widzeniach, które zabijały Anteę, bywały już przecie przerwy, wprawdzie nigdy dwudniowe, ale jednodniowe zdarzały się i w Aleksandrii, i na pustyni. Folgę obecną przypisywał Cinna przybyciu Tymona i wrażeń spod krzyża, które tak napęliły duszę chorej, że nawet z ojcem nie mogła o czym innym rozmawiać. Tymon słuchał też w skupieniu, nie przeczył, rozważał – i tylko wypytywał starannie o naukę Nazarejczyka, o której Antea wiedziała zresztą tylko to, co jej powtórzył prokurator.

Czuła się jednak w ogóle zdrowsza i nieco silniejsza, a gdy południe przyszło i minęło, w oczach jej zabłysła prawdziwa otucha. Kilkakrotnie nazywała ów dzień pomyślnym i prosiła męża, by go zapisał.

Dzień zaś był naprawdę smutny i posepny. Deszcz padał od rana, z początki bardzo obfity, potem drobny, siekący, z niskich, jednostajnie rozciągniętych chmur. Dopiero wieczorem niebo przetarło się i wielka ognista kula słoneczna wyrzawszy z mgieł umalowała purpurą i złotem chmury, szare opoki, biały marmur portyku willi i stoczyła się wśród niezmiernych blasków w stronę Śródziemnego Morza.

Natomiast nazajutrz pogoda uczyniła się cudna. Dzień zapowiadał się znojny, ale rano było świeży, niebo bez plamki, a ziemia tak zanurzona w błękitnej kąpieli, że wszystkie przedmioty wydawały się błękitne. Antea kazała się wynieść pod ulubioną pistację, aby z wyniosłości, na której stało drzewo, napawać się widokiem wesołej i modrej oddali. Cinna i Tymon nie odstępowali ani krokiem od lektyki, badając pilnie twarz chorej. Był w niej jakiś niepokój oczekiwania, ale nie było tego śmiertelnego przerażenia, jakie ogarniało ją poprzednio przed nadejściem południa. Oczy jej rzucały blask żywszy, a policzki zakwitły słabym rumieńcem. Cinna naprawdę myślał teraz chwilami, że Antea może być uzdrowiona, i na tę myśl chciało mu się rzucić na ziemię, szlochać z radości i błogosławić bogów – to znów ogarniała go trwoga, że to jest może ostatni błysk gasnącej lampy. Chcąc zaczerpnąć skądkolwiek nadziei, spoglądał kiedy niekiedy na Tymona, lecz i temu podobne myśli musiały przechodzić przez głowę, gdyż unikał jego wzroku. Żadne z trojga nie wspomniało słowem, że południe się zbliża. Natomiast Cinna, rzucając co chwila oczyma na cienie, uważał z bijącym sercem, że stają się one coraz krótsze.

I siedzieli jakby pogrążeni w zadumie. Może najmniej niespokojna była sama Antea. Leżąc w otwartej lektyce, z głową wspartą na purpurowej poduszce, oddychała z lubością czystym powietrzem, które powiew przynosił z zachodu, od dalekiego morza. Ale przed południem i ów powiew ustał. Upał stawał się większy; przygrzane słońcem cząbry skał i krzaki nardu poczęły ronić woń mocną i upajającą. Nad kępkami anemonów kołysały się jasne motyle. Ze szpar skalnych małe jaszczurki, które już przywykły do tej lektyki i do tych ludzi, wysuwały się, jak zwykle, jedna za drugą, ufne i zarazem na każdy ruch ostrożne. Świat cały koił się w świetlistej ciszy, w ciepłe, w pogodnej słodyczy i w błękitnym uśpieniu.

Tymon i Cinna zdawali się również zatapiać w tym słonecznym spokoju. Chora przymknęła oczy, jakby ją ogarniał lekki sen – i milczenia nie przezywało nic prócz westchnień, które od czasu do czasu podnosiły jej pierś.

A tymczasem Cinna zauważył, że cień jego stracił wydłużony kształt i leży mu tuż pod nogami.

Było południe.

Nagle Antea otworzyła oczy i ozwała się jakimś dziwnym głosem:

– Cinno, daj mi rękę.

On zerwał się i wszystka krew ścięła mu się lodem w sercu: oto przychodzi godzina strasznych widzeń.

A jej oczy otwierały się coraz szerzej.

– Czy widzisz – mówiła – jak tam światło zbiera się i związuje w powietrzu, jak drga, błyszczy i zbliża się ku mnie?

– Anteo! nie patrz tam! – krzyknął Cinna.

Lecz, o dziwo! na jej obliczu nie było przerażenia. Rozchyliły się usta, oczy patrzyły coraz szerzej – i jakaś niezmierna radość poczęła rozjaśniać jej twarz.

– Słup światła zbliża się ku mnie – mówiła dalej. – Widzę! To On, to Nazarejczyk... Uśmiecha się... O słodki!... o miłościwy!... Ręce przebite wyciąga, jak matka, ku mnie. Cinno! On niesie mi zdrowie, zbawienie i wzywa mnie do siebie.

A Cinna pobladł bardzo i rzekł:

– Gdziekolwiek nas wzywa – pójdźmy za Nim!

W chwilę później, z drugiej strony, na kamiennej ścieżce prowadzącej do miasta, pojawił się Pontius Pilatus. Zanim się zbliżył, widać było z jego twarzy, że niesie jakąś nowinę, którą jako rozsądny człowiek uważa za nowy, dziwaczny wymysł łatwowiernych i ciemnych tłumów. Jakoż z daleka jeszcze począł wołać ocierając pot z czoła:

– Wyobraźcie sobie, co ci znów rozpowiadają: że zmartwychwstał!

NA OLIMPIE

LEGENDA

Noc wiosenna, cicha, srebrna, pachnąca jaśminem, rosista!

Nad Olimpem płynie księżyc w pełni. W blasku jego śnieżny szczyt świeci smutnym, jasnozielonym światłem.

Poniżej, nad doliną Tempe, czernieją gąszcze świdwy, rozkołysane od pieśni słowiczych, od próśb, jęków, wołań, zaklęć, westchnień, omdleń. Płyną one jak głosy fujarek i fletni, przepelniają noc, padają i kapią na kształt wielkich kropli gęstego dżdżu, leją się jak strumień.

Chwilami milkną i wówczas nastaje taka cisza, że słyhać niemal śniegi topniejące na wysokościach pod ciepłym tchnieniem maja.

Cudna noc! ambrozyjska! wiosenna!

W taką to noc przyszli Piotr i Paweł i zasiedli na upłazie, aby złożyć sąd nad starymi bogami. Na głowach mieli świetliste obrączki, które rozświecały ich siwe włosy, zmarszczone brwi i surowe oczy. Poniżej, w cieniu głębokim buków, bielił się tłum bogów opuszczonych, zapomnianych, trwożnych i czekających na wyrok zatraty.

Piotr skinął ręką. Na ów znak z tłumy wystąpił pierwszy Zeus Chmurozbiórca i szedł ku Apostołom potężny jeszcze i ogromny, jakby z marmuru przez Fidiasza wykuty, ale zgrzybiały już i posepny. Stary orzeł ze złamanym skrzydłem włókł się u jego nóg, a siny, miejscami zrudziały od rdzy i przygąsły grom wysuwał się z drętwej prawicy dawnego ojca bogów i ludzi.

Lecz gdy stanął przed Apostołami, poczucie prastarej wszechmocy napęłniło mu pierś olbrzymią.

I podniósłszy z dumą głowę utkwiał w obliczu starego rybaka z Galilei swe boskie, świecące oczy, pełne pychy, gniewne, podobne do błyskawic, straszne. Zadrżał na to w posadach przywykły do strachu przed władcą Olimp. Zakolebały się przerażone buki, ucichły pieśni słowików, a księżyc, płynący nad śniegami, zbieleł jak płótno Arachny. Po raz ostatni zakrakał krzywym dziobem orzeł, a grom, jakby ożywion dawną siłą, rozbłysnął, począł się więc groźnie u nóg pana i podniósł, sycząc i zgrzytając, trójkątny, płomienny łeb, jak wąż, gotowy żgnąć żądłem jadowitym.

Lecz Piotr przycisnął stopą ogniste zygzaki i wgniótł je do ziemi, po czym zwróciwszy się do Chmurozbiórcy rzekł:

– Przeklętyś jest i potępiony na wieki!

Zeus zaś przygał w mgnieniu oka, pobladł i szepnąwszy poczerniałymi wargami: „Ananke” – zapadł się w ziemię.

Drugi stanął przed Apostołami Czarnokędzierny Posejdon, z nocą w źrenicach i poszczerbionym trójzębem w ręku.

Temu atoli rzekł Piotr:

– Nie ty będziesz wzburzał i uciszał odmęty i nie ty będziesz wiódł do cichych ostoi zbłąkane na roztoczy łodzie, jeno Gwiazda Morza.

Co usłyszawszy ów krzyknął, jakby bólem nagłym przeszyty, i rozwiął się we mgłę znikomą.

A potem wstał Srebrnołuki z drażoną formingą w dłoni i szedł ku Świętym Mężom, a za nim szło z wolna dziewięć Muz, do dziewięciu białych kolumn podobnych. Przelekle Muzy stanęły przed sądem jak skamieniałe, bez tchu w piersi i bez nadziei w sercach, lecz Promienisty zwrócił się do Pawła i począł mówić głosem do cudnej muzyki podobnym:

– Nie zabijaj mnie, Panie, i obroń, albowiem wskrzesić byś mnie musiał: Jam kwiat duszy ludzkiej, jam jej radość, jam światło i jam tęsknota ku Bogu. Ty wiesz najlepiej, Panie, że nie doleci pieśń ziemi ku niebu, jeśli połamiecie jej skrzydła – więc was zaklinam, o Święci, nie zabijajcie Pieśni!

I nastąpiła chwila milczenia. Piotr wznosił oczy ku gwiazdom, Paweł położył dłonie na rękojeści miecza, wsparł na nich czoło i zadumał się głęboko. Wreszcie podniósł się, spokojnie uczynił znak krzyża nad promienną głową bożka i rzekł:

– Żyj, Pieśni!

Wówczas Apollo siadł z formingą u nóg Apostoła: noc uczyniła się jaśniejsza, zapachniały mocniej jaśminy, zadzwoniły weselej źródła. Muzy skupiły się na kształt stada białych łabędzi i drżącymi jeszcze z trwogi głosami poczęły śpiewać z cicha dziwne, nie zasłyszane dotąd nigdy na wysokościach Olimpu słowa:

„Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... Naszymi prośbami nie racz gardzić:..

Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze zachować... O pani nasza!...”

I tak śpiewały na wrzosach, podnosząc w górę oczy, jako białogłowe mniszki pobożne.

Przeszli i inni bogowie. Przeleciał korowód Bakcha, dziki, wyuzdany, uwieńczon w bluszcz i winograd, zbrojny w cytry i tyrsy. Przeleciał z okrzykami szału, rozpaczy – i zapadł się w otchłań bezdenna.

Wtem przed Apostołami stanęło inne bóstwo: wyniosłe, harde, gorzkie – i nie czekając ni pytań, ni wyroku, pierwsze przemówiło ze wzgardliwym na ustach śmiechem:

– Jam jest Pallas-Atena. Nie proszę was o życie, gdyż jestem tylko złudzeniem. Słuchał mnie i czcił Odys wówczas, gdy się postarzał; słuchał Telemak, póki włos nie okrył mu brody. Nieśmiertelności nawet wy nie zdołacie mi odjąć, ale natomiast mówię wam, że cieniem marnym byłem, cieniem jestem i cieniem pozostanę na wieki.

Aż wreszcie kolej i na Nią – najpiękniejszą, najwięcej czczoną.

Zbliżyła się słodka, cudna, rozplakana. Serce biło w niej pod śnieżną pierśią jak u ptaka, a usta drgały jak u dziecka, które lęka się kary okrutnej. Więc przypadłszy im do nóg i wyciągnawszy swe boskie ramiona poczęła wołać z pokorą i bojaźnią:

– Jam grzeszna, jam winna! ale, o Panie! jam szczęście ludzkie! Zmiłuj się! Przebacz, jam szczęście ludzkie jedyne!

Po czym lęk i łkanie odjęły jej głos. Lecz Piotr spojrział na nią litośnie i położył sędziwą dłoń na jej złotych włosach, a Paweł pochylił się ku kępie polnych lilij, uszczknął jeden kielich i dotknawszy jej nim – rzekł:

– Bądź odtąd jako i ten kwiat – ale żyj, Szczęście ludzkie!

A wtem rozedniało. Różowa jutrzienka wyrzała zza przełęczy. Słowiki umilkły, a natomiast szczygły, makolągwy, zięby i piegże jęły wydobywać spod zroszonych skrzydeł senne główki, strzepywać z piór rosę i powtarzać cichymi głosami: „Świt, świt!”

Ziemia budziła się uśmiechnięta i radosna, bo nie odjęto jej Pieśni i Szczęścia.

POLSKA DOLA I NIEDOLA

JAKO SIĘ PAN LUBOMIRSKI NAWRÓCIŁ I KOŚCIÓŁ W TARNAWIE ZBUDOWAŁ

WEDLE PODANIA LUDOWEGO

Kiedy się Pan Jezus w Betlejem narodził, pan Lubomirski z Tarnawy był jeszcze lutrem. Ale że człek był mądry i przemyślny, a zasłyszał, że Dzieciątko Jezus bardzo nierade widzi lutrów i rozmaitych innych heretyków, zaczął więc w głowę zachodzić, jak by się przekonać, czy to prawda.

Stangret, Krakowiak, co go w cztery konie woził, mówił mu, że najprostsza rzecz będzie do bryki założyć, pojechać do Betlejem i tam dokumentnie Najświętsze Dzieciątko wypytać. Na nieszczęście pan Lubomirski długo przedtem z Turkami wojował i tyle pieniędzy na wojsko wydał, że w końcu i Tarnawę u Żydów zadłużył, z której to przyczyny nie miał na drogę nie tylko do Betlejem, ale nawet i do Krakowa.

Myśli tedy i myśli, jak by tu sobie poradzić, aż jednego dnia przychodzi do niego stary wędrowny dziad i powiada mu tak:

– Daleko stąd – powiada – na zachód słońca jest Babia Góra, taka wysoka, że cień od niej na siedem mil pada. Na samym wierzchu tej góry mieszka okrutnie bogata czarownica, która dla Jancychrysta koszulę szyje. Co rok jeden tylko ścieg wolno jej zrobić, ale kiedy koszulę skończy, wtedy się Jancychryst z niej narodzi i ze świętą wiarą wojować zacznie. Puścić – powiada – to wiedźma każdego ku sobie puści i pieniędzy pozwoli mu zabrać, ile dźwignie, jeno nigdy ludzie nie widzieli, żeby kto wrócił.

– Czemu tak? – pyta pan Lubomirski.

– Dlatego – mówi dziad – że jej straszne smoki i rozmaite gady strzega, więc jak kto wraca, to go gonia, a jak dogonia, nim z cienia wyjedzie, to na drobne szmaty go rozedra.

Począł się pan Lubomirski w głowę drapać, bo bardzo mu się te smoki i gady nie spodobały, a pieniądze chciał mieć. Ale po odejściu dziada przyszło mu do głowy, że skoro są tacy, którzy i samego diabła potrafią w pole wywieść, to przecie na tę gadzinę z Babiej Góry musi być jakiś sposób. Głowił się dzień, głowił drugi i trzeci, wreszcie powiedział sobie: „Albo starosta, albo kapucyn” – i pojechał.

Wziął siedem koni dobrych, ścigłych, i pierwszego przywiązał do drzewa w tym miejscu, w którym się cień od Babiej Góry kończy, drugiego o milę wyżej, trzeciego znowu o milę – i tak aż do szóstego, dopiero na siódmego wsiadł i ku czarownicy na nim pojechał.

Jedzie tedy i rozgląda się na prawo, rozgląda na lewo, aż tu leżą jak kłody, między kosówką, to smoki paskudne o trzech głowach, to węże ogromne, tu

rozmaite źmije i padalce. Ten i ów podniesie czasem łeb, zasyczy, zębami kłapnie, ale nie mówią mu nic.

– Hej! – myśli pan Lubomirski – żeby to były zwyczajne smoki i węzary, można by im mieczem łby porozwalać, ale przeciw piekielnym mocom szabla na nic – i trzeba chyba z babą coś wskórać, bo inaczej żywy nie wrócę.

Dojechał wreszcie do szczytu i patrzy: siedzi straszna jędza piekielnica, koszulę szyje. Zsiadł pan Lubomirski z konia, pokłonił jej się po kawalersku i tak grzecznie do niej powiada:

– Jak się masz – powiada – stary wiechciu od butów! Przyjechałem tu twoje skarby, bom swoje na wojnę wydał, a teraz mi na drogę potrzeba. Dasz dobrze, nie dasz – też dobrze, jeno nie marudź, bo mi okrutnie pilno.

Roześmiała się na to baba tak, że aż pan Lubomirski ostatni jej jedyny trzonowy ząb zobaczył, i mówi:

– Oj-jej, dlaczego nie, oto widzisz tu w workach koło mnie złoto, perły i diamenty, bierz, ile chcesz, ale pierwej napij się ze mną wina prze zdrowie.

I wzięła zaraz dwie szklenice, naląła z jednego gąsióra do jednej, z drugiego do drugiej i powiada:

– Chaim!

Ale pan Lubomirski, któren, jako się rzekło, był człek mądry i przemyślny, wnet pomiarkował, że skoro baba nie z tego samego gąsióra w obie szklenice leje, to musi być w tym jakaś podrywka. Począł tedy głową kręcić i patrzeć tak, jakby co za babą zobaczył.

– Czego się rozglądasz? – pyta baba.

– Bo się mgły rozstały i krzyże na kościołach w jakowymś mieście widać.

Złękła się wiedźma.

– Gdzie? – pyta.

– A za twoimi plecami.

Baba obróciła się całkiem i przykryła oczy ręką, a pan Lubomirski prędko przemienił szklenice.

– Ej, co też gadasz? Mgła jak żur gęsta – mówi jędza, a on na to:

– Tak mi się uwidziało.

Wzięła jędza znów szklenicę.

– Chaim!

– Siulim!

Wypili.

Ledwo wypili – bęc baba na plecy i usnęła twardym snem.

A pan Lubomirski łap za złoto, cap za perły i diamenty, na koń i w nogi. Leci, leci, dopada do tego konia, co był o milę uwiązany – hop na siodło – i w cwał dalej.

A tymczasem rozbudziła się piekielnica, bo dla niej trzeba było mocniejszej jeszcze przyprawy – i nuż się drzeć:

– Huź, smoki, huź, węże, huź, źmijce i padalce! Gońcie i rwijcie tego ryce-rza, co ze skarbami mego przyszłego syna Jancychrysta ucieka!

Dopiero kiedy nie zakłębi się w górach, kiedy nie ruszą się potwory, aż się bór począł jak od wiatru kołysać. Dopadają pierwszego konia, rwą go na drobne szmaty, że tylko kości w zębach im chruszczą – zjadły.

Pędzą dalej, bo baba krzyczy na mitręgę – aż oto drugi koń. Rozerwały go też, jako mogły, najprędzej i zżarły razem z siodłem. Widzą potem trzeciego – zżarły, widzą czwartego – zżarły. Ale że zamarudziły coś niecoś przy każdym,

więc gdy zżarły szóstego, już pan Lubomirski wyskoczył na siódmym z cienia, który Babia Góra na siedem mil od południa ku północy rzuca.

Obrócił się tedy ku nim i nuż drwić:

– Całujcież teraz psa w nos!

A one wspinają się, kłębią, szczyrzą zęby, charczą, ale im za cień nie wolno. Jedna tylko żaba hycnęła z takim rozpędem, że już się nie mogła wstrzymać i skoczyła panu Lubomirskiemu na ramię. Ale on się jej bynajmniej nie przestraszył, naprzód dlatego, że się wcale żab nie bał, a po wtóre, że gdy słońce na nią padło, poczęła na poczekaniu dębieć.

– Tuś, ropucho! – powiedział do niej pan Lubomirski.

A ona jęła go prosić pokornie:

– Wrzuć mnie – prawi – do cienia, bo inaczej skamienieję ze szczętem, a ja ci za to powiem prawdę na każde pytanie, które mi zadasz.

Zamyślił się więc rycerz przez chwilę, a potem rzekł do niej:

– Z piekłaś jest?

– Z piekła.

– Powiedz mi tedy, jakiej wiary najbardziej się w piekle boicie?

– Taką rzecz do ucha ci tylko mogę powiedzieć, bo gdyby to gadziny usłyszały, to choćbyś mnie potem w cień wrzucił, zaraz by mnie zagryzły.

I poczęła mu szeptać do ucha, a pan Lubomirski słuchał, słuchał, po czym wzięwszy żabę rzucił ją na powrót do cienia i tak rzekł do swojej własnej duszy:

– To już teraz nie potrzebowałbym do Betlejem jechać, Dzieciątka o prawdziwą wiarę pytać, ale pojedę, by Mu się czołem do świętych nówek pokłonić.

Po drodze obaczył, że trzej królowie na piechotę tam idą, więc im się do kolaski przysiąść pozwolił, za co podziękowali pięknie i obiecywali syna, co mu się miał narodzić, do chrztu trzymać.

A w Tarnawie, za skarby Babie-Jędzy zabrane, stanął wilki kościół, w którym dotychczas nabożeństwo na chwałę Bożą się odprawia.

TOAST

Było ich około pięćdziesięciu. Mieli jechać na nocny podjazd, ale tymczasem siedzieli przy ognisku i spożywszy kilka baranów, których smakowity zapach czuć było w powietrzu, popijali gorzałką. A zdarzyło się tak dziwnie, że choć była ich garść nieznaczną, zebrali się ludzie z różnych stron Rzeczypospolitej, jako to: wolentarze spod pana Muraszki i spod pana Zboińskiego z Mazowsza, i spod pana Prokszy, którego kresowym ochotnikom przewodził. Komenderowano po kilkunastu z chorągwi dlatego, że każdy pułkownik chciał mieć w podjeździe swoich ludzi.

Rej przy ognisku wodził, jak zwykle, pan Zagłoba, ale nie był w dobrym humorze, albowiem lubił się wywczasować, a tu tymczasem trzeba było czekać komendy, a potem siadać na koń i ciągnąć pod nieprzyjaciela. Pieczony udziec barani i dwie lub trzy kwaterki gorzałki pokrzepiły wprawdzie nieco ducha w starym wojowniku, jednakże nie przestał ludziom dogryzać, co omal nie stało się przyczyną ciężkiej niezgody i wielce ostrych pojedynków.

Bo gdy tak siedzieli popijając, trafiło się, że nad przygasłym ogniskiem zerwała się na nocnym niebie gwiazda i ciągnąc za sobą świetlistą strugę zgasła gdzieś w ciemnościach blisko ziemi.

Co widząc pan Pluta, Mazur, stary żołnierz spod Zboińskiego, przeżegnał się rzekł:

– Może to gwiazda którego z nas.

Lecz Zagłoba dmuchnął przed siebie po wypiciu nowej kwaterki, odsapnął i rzekł: –

Nie waścina.

–A czemu to?

– Bo Mazurowie ciemną gwiazdę mają, a ta była jasna.

– Niejednemu już, co tej gwieździe przymawiał, świeczki stanęły w oczach.

– Świeczki tym potrzeba, którzy się ślepo rodzą.

– Nie daj, panie Pluta, przymawiać Mazurom – zawołał pan Skulski, który lubo łęczyczanin służył z nimi od dawnych lat.

Więc pan Pluta – cięta szabla, ale jeszcze Giętszy język, wraz odparł:

– Mazur ślepo się rodzi, ale za to jak przewidzi, to kpa i przez deskę rozezna.

Myśleli tedy wszyscy, że pan Zagłoba raz przecie nie znajdzie odpowiedzi, ale on począł tylko przytakiwać głową i rzekł:

– Słusznie! Słusznie! Ma się rozumieć! Swój swego i przez deskę rozezna.

Na to śmiech wielki powstał koło ogniska, a najgłośniejszym śmiał się pan Si-pajło spod Oszmiany.

– Boże ty mój – mówił. – Ot, zapomniał języka w gębie. A ja by się nie dał tak skonfundować nawet i panu Zagłobie. Nie wiedzieć co! Niechby tylko!...

Tu pan Zagłoba, czując się poniekąd wyzwany, spojrział na niego niezbyt życzliwie, a pan Pluta, rad, że może na kogoś złość wyrzucić, huknął:

– Milczałbyś, boćwino! Nie tobie, któryś prochu nie wachał, zabierać głos między starymi żołnierzami.

– Nie wachał albo i wachał – odpowiedział z flegmą Sipajło. – Lepiej ja się może i częściej od waszmości potykał.

– Prawdę mów! – zawołał Zagłoba. – Przecież to oszmiański szlachcic, co w jednym bucie, a w jednym łapciu chodzi. W takowym stroju, zwłaszcza w zimie na grudzie, musiał się często nie tylko potykać, ale i zgoła przewracać.

Tu znów roześmieli się wszyscy, a pan Sipajło, więcej wrażliwy niż wymowny, trzasnął z cicha szablą i rzekł:

– Kto mnie poprosi, temu nie odmówię.

Lecz witebszczanin, pan Portanty, począł go mitygować:

– Nie gniewaj się waść i nie ujmuj za głupią modą.

– Lepiej konserwować taką modę niż mieć czarne podniebienie jako witebszczanie – odpowiedział Sipajło.

– Lepsze czarne podniebienie niż głupia głowa!

– Co, u dytka! – zawołał pan Tretiak spod Humania – dość mi tych swarów przed wyprawą!

– Czego się waść wtrącasz? – zapytał pan Skulski, łączyczanin.

– Bo mi się podoba!

– A mnie się nie podoba. Patrzcie go! Humańczuk... Potrafią i waści przy mówić.

– To przymów.

– A dobrze! Bre! Bre! Humański dureń, co z cudzego woza *bere*, na swój *klade*.

– Stulże gębę, piskorku! Siedem razy kaczka cię połknęła i siedem razy się wyśliznął.

– Ty się zaś nie wyślizniesz... Parol!

– Dobrze! Parol! Jutro!

– To i ja kogo poproszę! – rzekł Pluta.

– Lepiej moich wnuków – odparł pan Zagłoba.

– A jaż to ostatni? – zapytał pan Sipajło.

– Kogo waść prosisz?

– At! co wybierać... wszystkich, i kwita!

– Bacność! – zawołał Zagłoba.

Jakoż do ognia zbliżył się oficer spod chorągwi pana Radrożewskiego, a jednocześnie ozwało się ciche trąbienie przez musztuk.

– Na koń! – skomenderował oficer.

Po czym do pana Zagłoby:

– Siła na tym podjeździe zależy, więc staraj się waść dostać koniecznie języka, choćbyś też sam miał polec z połową ludzi.

– Dobrze – odpowiedział stary rycerz – lubo muszę waści rzec, że takie polecenie łatwiej komuś dać, niż samemu spełnić!

Oficer ruszył ramionami i zawrócił, a oni pojechali. Noc była gwiazdzista, ale bez księżycy. Za majdanem pół mili borku, dalej niezmierne łąki, na nich, jako zwykle latem; biały, nisko leżący tuman, niby morze bez końca. Wąska, pachnąca torfem droga biegła przez owe łągi, aż hen ku dalszym borem, między którymi stał nieprzyjaciel.

Gdy wjechali w tuman, ledwie człek człeka mógł dojrzeć, a o kilka kroków nie było widać nic.

– Choć w pysk daj! – mruknął Zagłoba.

Ujechali milę i drugą. W tumanie i mroku nie było słyhać nic prócz parskania koni.

Aż tu naraz trzech ludzie, którzy jechali w przedniej straży, wrócili w cwał, krzycząc:

–Nieprzyjacieli! Nieprzyjacieli!

Tuż za nimi słyhać było tętent nadbiegającej jazdy. Pan Zagłoba zdarł bachmata i krzyknął:

– Bij!

I po chwili zwarli się tak, iż mogli się rękami za piersi chwytać. We mgle rozległ się szcęk szabel, a czasem huk samopału, czasem kwik koński i okrzyki walczących. Pan Zagłoba rykiem żubrowym przerażał ludzi w ciemnościach, ale i miotał się okrutnie, gdyż straszny to był żołnierz, gdy go zanadto do muru przyparto.

Pan Skulski ciał jadowicie, po łączycycku, tuż koło pana Tretiaka. Pana Portantego chlaśnięto przez policzek i byłby zginął, gdyby nie pan Sipajło, który odbiwszy drugi cios, sztychem nieprzyjaciela w gardło ugodził. Pan Pluta, stary i cięty żołnierz, wił się wśród skrzętu jak wąż w mrowisku – i bił w całe kupy, jak jastrząb w stado dzikich kaczek.

I wzajem jeden ratował życie drugiemu, a wtem wstał powiew. Tuman zrzędł trochę. Mogli się lepiej widzieć.

Więc przyrosło im serca i poczęli pokrzykiwać, aby tym lepiej każdy mógł rozpoznać, co się z towarzyszem dzieje i kogo ma przy sobie. Pierwszy pan Sipajło, który Plucie żywot zawdzięczał, krzyknął z głębi serca w tumanie:

– Górą Mazury!

– Żywie Oszmiana! – odgłosił Pluta.

A inni, nie chcąc się dać wyprzedzić, nuż wołać:

– Sława Łęczycy!

– Chwała witebszczanom!

– Górą Humań!

– Wiwat Rzeczpospolita!

Ale tymczasem natarto na nich z boków – ba – i z tyłu, tak że wpadli jako wilkowi w gardziel. Że jednak byli z różnych stron, przeto wstydzili się siebie wzajem, więc żaden nie prosił pardonu, i bili się do upadłego – bez nadziei, ale na śmierć.

Byliby też wszyscy polegli, gdyby nie to, że pan Zboiński wiedząc, iż w małej liczbie i w nocy nietrudno o przygodę, pociągnął za nimi w trzysta Mazurów, chłopów dobrych. Ów odegnał nieprzyjaciela, złamał, rozbił, część wyścinał, część zagarnął i uwolnił podjazd przed przemocy.

Lecz nie mógł powstrzymać zdziwienia widząc ich robotę – gdyż istotnie, po desperacku się bijąc, naszatkowali ludzi jak kapusty.

– Już chyba i aniołowie nie potykałiby się grzeczniej – rzekł.

Za czym wrócili radośnie do obozu.

Ale choć świt uczynił się, nim dojechali, nie poszli spać, a to od wielkiej uciechy i dlatego, że poczęto ich zaraz częstować. Oni zaś jedli i pili wysławiając jeden drugiego i słuchając pana Zagłoby, który coś skromnie o Termopilach wspominał.

Aż gdy już dobrze podpili, pan Portanty przyłożył nagle palec do ust i rzekł:

– Ba, a nasz parol? Jakoż z nim będzie?

– Parol? Zjadł go nieprzyjaciel.

– I trochę mu niezdrowo – dodał Zagłoba.

A wtem pan Pluta, który się pokrzepił lepiej od innych, począł uderzać się dłońmi po piersiach, aż rozległo się w izbie – i wołać żalonym głosem:

– Ja na stare lata miałbym Kainem zostać i rozlewać niewinną krew Abła? na stare lata? ja? Pluta?

I zawył wielkim płaczem, co usłyszawszy inni, kiedy bo nie rykną – aż ludzie spod innych chorągwi zaczęli ich otaczać, ciekawi, co im się mogło wydarzyć.

Tymczasem powstał pan Zagłoba i podniósłszy z niezmierną powagą garniec miodu rzekł:

– Komilitoni moi, dzieci *eiusdem matris*! Dwa jeno słowa powiem, ale kiej, kto mi nie przywtórzy: – K o c h a j m y s i ę!

– Kochajmy się! – powtórzyły wszystkie usta.

A w tejże chwili na rogach majdanu poczęto trąbić – nie przez musztuk, ale rozgłośnie, jak czyniono zwykle przed wielką bitwą.

Z KURZEM KRWI BRATNIEJ...

Ksiądz Kamiński, za młodych lat żołnierz i kawaler wielkiej fantazji, siedział pod starość w Uszycy i parafię restaurował. Ale że kościół był w zgliszczach; a parafian brakło, zajeżdżał ów proboszcz bez owieczek do Chreptiowa i po całych tygodniach tam przesiadując rycerstwo pobożnymi naukami budował.

Wysłuchawszy więc z uwagą opowieści pana Muszalskiego, w kilka wieczorów później tak ozwał się do zgromadzonych:

– Lubilem ja zawsze słuchać takowych opowiadań, w których żalosne przygody szczęśliwy swój koniec mają, gdyż widoczna z nich, że kogo boża ręka piastuje, tego z łowczych obieży wyzuć każdego czasu potrafi i choćby z Krymu pod spokojny dach zaprowadzi.

Dlatego niech każdy z waściów raz na zawsze to sobie zakonotuje, iż dla Pana Boga nie masz nic niepodobnego, i niechże w najcięższych nawet terminach ufności w Jego miłosierdzie nie traci.

Ot, co jest!

Chwali się to panu Muszalskiemu, że prostego człeka braterską miłością pokochał. Przykład tego dał nam sam Zbawiciel, który, z królewskiej krwi pochodząc, przecie prostaków kochał, wielu z nich apostołami mianował i do promocji im dopomógł, tak że owi teraz w senacie niebieskim zasiadają.

Lecz co inszego jest miłość prywatna, a co inszego generalna jednej nacji ku drugiej, którą to generalną Pan nasz Zbawiciel nie mniej pilnie obserwować nakazał. A gdzie ona? Kiedy, człeku, rozglądniesz się po świecie, to taka wszędy zawziętość w sercach, jakoby ludzie diabelskich, nie boskich przykazania słuchali.

– Mój jegomość – odrzekł pan Zagłoba – trudno nas przekonasz, abyśmy Turczyzna, Tataru lub innych barbarów miłować mieli, którymi i sam Pan Bog zgoła brzydzić się musi.

– Do tego ja waści nie namawiam, jeno to utrzymuję, że dzieci *eiusdem matris* kochać się powinny, a owóz zamiast tego od chmielnicczyzny, czyli od trzydziestu lat, wszystkie te kraje z krwi nie osychają.

– A z czyjej winy?

– Kto się pierwszy do niej przyzna, temu pierwszemu Bóg ją odpuści.

– Jegomość dziś szatki duchowne nosisz, a za młodu bijaleś rebelizantów, jakośmy słyszeli, wcale niezgorzej...

– Bijalem, bom był powinien, jako żołnierz, i nie to mój grzech, ale to, żem ich przy tym jako zarazy nienawidził. Miałem swoje prywatne racje, o których nie będę wspominał, bo to dawne czasy i rany owe zaschły. W tym się kajam, żem nad powinność czynił. Miałem pod swoją komendą sto ludzi z chorągwi pana Niewodowskiego i często luzem chodząc z nimim palił, ścinał,

wieszał... Waszmościowie wiecie, jakie to były czasy. Palili i ścinali Tatarzy, przez Chmiela na pomoc wezwani, paliliśmy i ścinali my. Kozactwo też wodę a zicmię tylko wszędy zostawiało, gorszych jeszcze dopuszczając się od nas i od Tatarów okrucieństw. Nie masz nic straszniejszego nad wojnę domową... Co to były za czasy, tego nikt nie wypowie, dość że my i oni byliśmy do psów wściekłych niż do ludzi podobniejsi... Raz dano znać do naszej komendy, że hultajstwo pana Rusieckiego w jego fortalicji oblega. Posłano mnie z moimi ludźmi na ratunek. Przyszedłem za późno. Fortalicja była już z ziemią zrównana. Napadłem jednak na chłopstwo pijane i znacznie wyciąłem, część się tylko w zbożu zataiła; tych kazałem żywcem brać, by ich dla przykładu obwiesić. Ale gdzie? Łatwiej było zamierzyć, niż dokonać: w całej wsi nie zostało ani jednego budynku, ani jednego drzewa, nawet hryćkowe grusze na miedzach samotnie stojące były pościanane. Nie miałem czasu szubienicy stawiać; lasu też, jako to w kraju stepowym, nigdzie w pobliżu. Co robić? Biore ja moich jeńców i idę. Już też przecie znajdę gdzie jaki dębczak rosochaty. Idę milę, idę dwie – step i step, choć kulą potoczyć. Trafiamy wreszcie na ślady jakiejś wioski, było to pod wieczór; patrzę, oglądam się: tu i owdzie kupa węgla, a zresztą siwy popiół; znowu nic! Na wzgórkach maluchnym krzyż przecie został, duży, dębowy, niedawno widać uczyniony, bo drzewo nic jeszcze nie szerniało i świeciło się przy zorzy, jakoby z ognia. Chrystus był na nim z blachy wydęty i tak właśnie pomalowany, że dopiero z boku zaszedłszy i cienkość blachy widząc poznałeś, iż nie prawdziwe ciało wisi; ale z przodu twarz miał jakoby żywą, od boleści jeno nieco przybladłą, i cierniową koronę, i oczy do góry podniesione z okrutnym smutkiem i żalnością. Gdym tedy ujrzał ów krzyż, mignęła mi przez głowę myśl: „Ot drzewo, inszego nie masz” – ałem się zaraz zląkł. W imię Ojca i Syna! Na krzyżu ich nie będę wieszał! Ale rozumiałem, że ucieszę oczy Chrystusowe, gdy w jego obliczności każę tych, którzy tyle krwi niewinnej przelali, pościnać, i mówię tak:

– Panie miły, niechże Ci się zdaje, że to owi Żydowinowie, którzy Ciebie na krzyż przybili, bo ci od nich nie lepsi.

Wtem kazałem ich po jednym porywać, na mogiłkę pod krzyż podprowadzać i ścinać. Byli między nimi starzy, siwi chłopcy i pacholeta. Pierwszy tedy, którego przyprowadzono, mówi:

– Przez mękę Pańską, przez tego Chrystusa, pomiłuj, panie!

A ja na to:

– Po szyi go!

Dragon ciał i ściał...

Przyprowadzono drugiego, ten to samo:

– Przez tego Chrystusa miłosiernego, pomiłuj!

A ja znów:

– Po szyi go!

To samo z trzecim, czwartym, piątym; było ich czternastu; a każdy mnie przez Chrystusa zaklinał... Już i zorze zgasły, gdyśmy skończyli. Kazałem ich położyć kręgiem koło stóp krzyża... Głupi! Myślałem, że tym widokiem Syna Jedynego udelektuję, oni zaś ruchali co jakiś czas to rękami, to nogami, czasem rzucił się który jako ryba z wody wyjęta ale krótko tego było; niebawem wigor opuścił ich ciała i leżeli wianuszkami cicho.

Że to już ciemność uczyniła się zupełnie, postanowiłem zostać na nocleg, chociaż ognisk nie było z czego rozpalić. Noc Bóg dał ciepłą, więc moi ludzie

radzi pokładli się na derach, ja zaś poszedłem sobie jeszcze pod krzyż, u nóżek Chrystusowych zwyczajne pacierze odmówić i miłosierdziu Jego się polecić. A myślałem, że modlitwa moja tym wdzięczniej zostanie przyjęta, że mi dzień zeszedł w pracy i w takich uczynkach, które za zasługę sobie poczytywałem.

Często się utrudzonemu żołnierzowi przytrafia, że, począwszy wieczorne pacierze, uśnie. Trafiło się to i mnie. Dragoni widząc, jakom klęczał z głową opartą o krzyż, rozumieli, że mi się w pobożnych rozmyślaniach zatopił, i żaden mi ich przerywać nie chciał; moje oczy zaś zaraz się przymknęły i sen dziwny zeszedł na mnie od tego krzyża. Nie powiem, że miałem widzenie, bom go i był, i jestem niegodzien, ale śpiąc twardo, widziałem jakoby na jawie całą mękę Pańską... Na widok tedy opresji Baranka niewinnego skruszało we mnie serce, śluzy puściły mi się z oczu i żałość zdjęła mnie niezmierna.

– Panie – mówię – mam oto garść dobrych pacholków: chceszli wiedzieć, co nasza jazda, skiń jeno głową, a ja tych takich synów, twoich katów, w mig na szablach rozniosę.

Ledwie to rzekł, znikło mi wszystko z oczu, został tylko sam krzyż, a na nim Chrystus krwawymi łzami płaczący... Obejmuję ja więc podnóżek drzewa świętego i też słocham. Jak to długo trwało, nie wiem, ale po pewnym czasie, uspokoiwszy się nieco, znów rzeknę:

– Panie, Panie! przecz żeś wśród zatwardziałych Żydowinów naukę Twoją świętą opowiadał? Żebyś był z Palestyny do naszej Rzeczypospolitej przyszedł, pewnie nie bylibyśmy Cię na krzyż przybijali, ale wdzięcznie przyjęli, wszelakim dobrem obdarzyli i indygenat Ci dali dla tym większego Twojej boskiej chwały pomnożenia. Czemuś tak nie uczynił, o Panie?

Rzekłszy podniosłem oczy ku górze (we śnie to zawsze było, pamiętajcie, acaństwo) i cóż widzę? Oto Pan nasz spogląda na mnie surowie, brwi marszczy i nagle wielkim głosem tak odrzeczę:

– Tanie teraz wasze szlachectwo, bo je czasów wojny szwedzkiej każdy łyk mógł kupić; ale mniejsza z tym! Warciście siebie wzajem i wy, i hultajstwo, a jedni i drudzy gorsiście od Żydowinów, bo wy mnie tu co dzień na krzyż przybijacie... Zalim to nie nakazał miłości nawet dla nieprzyjaciół i przebaczenia win, a wy jakoby wściekle zwierza, wnętrzości targacie sobie wzajem. Na co ja patrząc mękę nieznośną cierpię. Ty zaś sam, któryś mnie chciał odbijać, a potem do Rzeczypospolitej zapraszał, cóżeś uczynił? Oto trupy tu naokół krzyża mego leżą i krew obryzgała mu podnóżę, a przecie byli między nimi niewinni, pacholęta młode albo ludzie zaślepieni; którzy rozgarnięcia nijakiego nie mając za innymi jako głupie owce poszli. Miałeś nad nimi miłosierdzie, sądziłżeś ich przed śmiercią? Nie! Kazałeś ich wszystkich pościnać i jeszcze myślał, że mnie tym ucieszysz. Zaprawdę, co inszego jest karcieć i karać, tak jako ojciec syna krze, tak jako starszy brat młodszego karcieć, a co inszego mścić się, sądu nie dawać, miary w karaniu i okrucieństwie nie znać. Do tego już doszło, że na tej ziemi wilcy miłosierniejsi od ludzi, że tu trawy krwawą rosą się poca, wichry nie wieją, ale wyją, rzeki łzami płyną i ludzie do śmierci ręce wyciągają mówiąc: „Ucieczko nasza!...”

– Panie! – zawołałem – zali oni lepsi od nas? Kto największe okrucieństwa czynił? Kto pogan sprowadzał?...

– Miłujcie ich nawet karząc – odrzekł Pan – a wówczas bielmo spadnie z ich oczu, zatwardziałość ustąpi z serc i miłosierdzie moje będzie nad wami.

Inaczej przyjdzie nawała tatarska i łyka nałoży wam i im – i nieprzyjacielowi będziecie musieli służyć w umartwieniu, w pogardzie, we łzach, aż do dnia, w którym pokochacie się wspólnie. Jeśli zaś miarę w zawziętości przebierzecie, tedy nie będzie ani dla jednych, ani dla drugich zmiłowania i poganin posiadzie tę ziemię na wieki wieków!

Struchlałem słuchając takowych zapowiedzi i długi czas słowa nie mogłem przemówić, dopiero rzuciwszy się na twarz pytałem:

– Panie, co ja mam czynić, aby grzechy moje zmazać?

Na to Pan rzekł:

– Idź, powtarzaj słowa moje, głoś miłość!

Po tej odpowiedzi sny moje znikły. Że to noc latem krótka, obudziłem się już o brzasku i cały rosą okryty. Spojrzę: głowy wiankiem około krzyża leżą, jeno już posiniałe. Dziwna rzecz, wczoraj radował mnie ten widok, dziś zgroza mnie chwyciła, zwłaszcza na widok głowy jednego pacholęcia lat może siedemnastu, które nad miarę było piękne. Kazałem żołnierzom pogrześć przystojnie ciała pod tym samym krzyżem i odtąd – byłem już nie ten.

Z początku, bywało, myślałem sobie: sen mara! Ale przecie tkwił on mi w pamięci i jakoby jestestwo całe coraz bardziej ogarniał. Nie śmiałem suponować, żeby sam Pan ze mną gadał, bo – jakom już rzekł – nie czułem się godnym, ale mogło być to, że sumienie, które się było czasu wojny przytailo w duszy jako Tatar w trawach, teraz ozwało się nagle wolę mi boską oznajmując. Poszedłem do spowiedzi: ksiądz potwierdził to mniemanie. „Jawna (powiada) wola i przestroga Boża, słuchaj ich, bo będzie z tobą źle”.

Odtąd począłem głosić miłość.

Ale towarzystwo i oficyjerowie śmieli mi się w oczy. „A coś to (prawia) ksiądz, żebyś nam nauki dawał? Małoż to owi psubratowie dyzgustów Bogu naczynili, mało napalili kościołów, mało nahańbili krzyżów? Mamy się za to w nich kochać?” Słowem, nikt mnie nie słuchał.

Więc po beresteckiej wdziałem te oto szatki duchowne, aby z większą powagą słowo i wolę bożą ogłaszać.

Od dwudziestu przeszło lat czynię to bez spoczynku. Już mi włosy pobieły... Bóg miłościw nie ukarze mnie za to, że głos mój był dotychczas głosem wołającego na puszczy.

Mości panowie, miłujcie nieprzyjaciół waszych, karzcie ich, jako ojciec karze, karćcie, jako brat starszy karci, inaczej gorze im, ale gorze i wam, gorze całej Rzeczypospolitej!

LEGENDA ŻEGLARSKA

Był okręt, który zwał się „Purpura”, tak wielki i silny, że się nie bał wiatrów ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną pierś podwodne haki, na których rozbijały się inne statki – i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

– To pyszny statek! – mówili żeglarze z innych okrętów. – Rzekłbyś: lewiatan fale porze!

A czasem pytali załogę „Purpury”:

– Hej, ludzie! dokąd jedziecie?

– Dokąd wiatr żenie! – odpowiadali majtkowie.

– Ostrożnie! tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę wiatr tylko odnosił słowa pieśni, tak szumnej jak burza sama:

Wesoło płynmy, wesoło!

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na „Purpurze” każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznym świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. – Nie ma – mówiono – takich raf ni takich burz, które by „Purpurę” rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze – „Purpura” popłynie dalej.

I „Purpura” płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Przechodziły lata całe – a ona nie tylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwili w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej.

– „Purpura” sama popłynie – mówili.

– Po co pracować, po co baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? Po co żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek, jak bóstwo – nieśmiertelny?

Wesoło płynmy, wesoło!

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie z upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków i nikt nie wiedział, że statek począł

się psować. Ślona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić.

– Strzeżcie się! – mówili niektórzy majtkowie.

– Nic to! płyniemy z falą! – odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem pewnego razu wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie było na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne, i leciały z hukiem na „Purpurę”, straszne, spienione, wrzące. Dopadłszy statku wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwały znów na dno. Pękły zwałtałe wiązania statku i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie:

– „Purpura” tonie!

I „Purpura” tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem chwyciwszy, co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić „Purpurę”.

Wspaniała była walka tej rozpaczliwej ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą – ale walczyła jeszcze. Zalani, na wpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku znów zrywali się do walki.

Na koniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastąpiła chwila głuchej rozpaczliwej. I poglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

– O, zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. „Purpura” jeszcze nie zginęła!

Na owe słowa drgnęli ci na wpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić...

H.K.T.

BAJKA

Leci sobie drapieżny sęp, leci, leci, wreszcie siada wśród skał przy sokolim gnieździe i poczyna krakać na sokoła:

– W imieniu moich praw, słuchaj mnie!

– Czego chcesz? – pyta sokół.

– Chcę cię zabić i pożreć – powiada sęp.

– A cóż ci po mojej zgubie?

– Coza głupie pytanie i co za brak wykształcenia! Ciasno mi jest w rodzinnym gnieździe, więc chcę zabrać twoje, abym miał gdzie umieścić moich młodszych synów; po wtóre, mam swoją sępią politykę, której twoje istnienie zawadza; a po trzecie, kraczesz innym głosem niż ja i, nie kochasz mnie.

– Co do mego głosu, odzywam się takim, jaki mi Bóg dał, a co do mych uczuć, za cóż ja mam cię kochać?

– Mniejsza o to. Wiem tylko, że mam prawo zabić i pożreć każdego, kto mnie nie kocha.

– Więc gdybym cię kochał, nie zabijałbyś mnie?

– Ach! – rzecze sęp – gdybyś mnie kochał, oddałbyś mi dobrowolnie swoje gniazdo, a również dobrowolnie dałbyś mi się pożreć, aby moja osoba mogła nieco zaokrąglić się i utyć.

– W każdym razie nie uniknąłbym zguby?

– Rozumie się: jednakże śmierć z poświęcenia przyniosłaby ci większy zaszczyt.

Chwila milczenia.

– Co ma być, to będzie... – mówi wreszcie sokół. – Ale powiedz mi też, mój kochany, kto cię nauczył tak rozumować?

Usłyszawszy to sęp podnosi głowę i rzecze z wielką dumą:

– Prostaku, to chyba nie wiesz, że ja przez dwa lata byłem na edukacji w ogrodzie zoologicznym w Berlinie!

– Tak?... – mówi sokół. – Ha! to w takim razie nadzieja moja tylko w Bogu – i trochę także w... dziobie.

PŁOMYK

Gdy po wykopaniu ziemniaków wypłacono w końcu strudzonym najmitom należność za cały czas robót polnych, pobrali wszyscy na plecy przygotowane już poprzednio węzłki i ruszyli pod wieczór do najbliższej stacji kolejowej. Przyszedł tylko Wojciech Lipiecki, chłop spod Kościana, który przypadkiem przyłączył się wraz z kilku innymi do obieżysasów z Królestwa i razem z nimi pracował. Przyszedł on dlatego, że się w dzień podźwigał worem ziemniaków i czuł się jakiś słaby, a po wtóre i z tej jeszcze przyczyny że chciał wstąpić do baraku, w którym ludzie przez cały czas koczowali, zabrać stamtąd obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i ołowianą lampkę. Sam je był zawiesił, jako chłop pobożny, w kącie nad swoim tapczanem i oczywiście szkoda mu było świętych rzeczy, a to tym bardziej że Niemcy-lutrzy nie umieliby ich uszanować. Więc w tym zamiarze, po otrzymaniu zapłaty w kancelarii, powlókł się do baraku, wzniesionego na skraju przestronnego pola pod lasem, układając sobie w myśli po drodze, że się prześpi, wypocznie, a jutro skończy pakowanie i pociągnie za innymi.

Ale szło mu się jakoś dziwnie niesporo – i czuł, że ma nogi jak słomiane, że krzyże go bolą i że w piersiach ma jakby gwoździe, które kłują go przy każdym poruszeniu. Robiło mu się to gorąco, to zimno. Przed samym barakiem rozebrało już chłopca do szczeru. Tyle tylko że wszedł, ledwo-ledwo zapalił lampkę przed obrazem i zaraz gruchnął się jak długi na tapczan. Maszże teraz! Dopieroż zląkł się, bo zrozumiał, że przyszła na niego ciężka choroba. I to tak nagle, i z taką siłą, jak latem przychodzi burza.

Od razu stracił moc w kościach. Chciał się przeżegnać i z trudem wielkim podniósł rękę do czoła, następnie zawlókł ją na piersi, ale do lewego ramienia ani rusz! I leżał tak czas jakiś, bezwładny jak pień. Jednakże, ponieważ przytomność nie opuściła go jeszcze, więc naprzód zdjęła go ogromna tęsknota i żal, że ludzie już odeszli i że został tak sam jak Łazarz na obczyźnie. Bo oto Bóg raczy wiedzieć, kiedy tu kto zajrzy teraz do tego baraku, a przez ten czas nikt mu i dzbanka z wodą nie poda. Co tu zaś przecie bywało zawsze gwaru pod wieczór – i ludzkich głosów, i rozmów, i narzekań, i sporów, i śmiechu, i śpiewania! A teraz cicho. Myszy jeno, które jesienią chronią się z pól przed chłodami do zabudowań, chrobocą wszędy i gryzą zawzięcie drzewo, a blisko wygasłego ogniska, w kupie grochów, świerkają świerszcze polne. Spojrzy Lipiecki po tapczanach stojących pod ścianami jakby w nadziei, że może kto zasnął i został; spojrzy na drzwi, że może kto czego zapomniał i wróci, ale nie widać i nie słychać nic. Barak tylko wydaje mu się tak ogromny jak nigdy i w głębi całkiem zapełniony mrokiem, bo tylko ta jedna lampka przed obrazem go oświeca. Chłopu robi się jakoś dziwnie nieswojo i po prostu straszno. Żeby choć jedna ludzka dusza przy nim – żeby choć jed-

no polskie słowo ozwało się za ścianą – żeby choć jedno! Nic i nic! A niechże to Bóg broni chorować w takiej pustce – zaś jeszcze bardziej umierać bez księdza, spowiedzi i sakramentów! Przyszło mu na myśl, że gdyby tak umarł, to Prusaki pogrzebałyby go na luterskim cmentarzu, a może nawet zakopałyby go gdzie w polu pod borem jak zdechłe bydlę albo psa.

Broń-że od tego, Matko jedyna, i ty, święta Barbaro, patronko dobrej śmierci! Lipieckiemu z niemocy, żalości i utrapienia wezbrały łzy w oczach. Podniósł wzrok ku płomykowi, który świecił pod obrazkiem, i jał mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko” – a modlił się ogromnie gorliwie, bo to jedno dobrze rozumiał, że jeżeli Ona go nie wspomóż, to będzie z nim źle. Ale już podczas modlitwy poczęło mu się tak mieszać w głowie, że nie mógł jej dokończyć. Pierwej brały go ciagoty i dreszcze, a teraz chwyciła go gorątkowa taka, jakby mu kto rozpalonych węgli do głowy i do piersi nasypał. I widać; że coraz z nim było gorzej i coraz więcej tracił rozeznanie, gdyż nagle wydało mu się, że tapczany zaczęły chodzić jeden za drugim po izbie jak gęsi – i że z krokwi baraku zwiesiły się jakieś długie, do ziemi sięgające powrósła, oblepione rojami czarnych wielkich much. Przymknął oczy, żeby tego nie widzieć; gdyż było w tym coś tak wstrętnego, że aż skóra na nim ścierpła. Tyle zachował jednak jeszcze przytomności, że powiedział sobie, iż mu się to tylko tak przewiduje i że tego naprawdę nie ma. Jakoż gdy otworzył znów oczy, tapczany stały po dawnemu pod ścianami, żadne czarne powrósła nie zwieszały się z pułapu i płomyk lampki palił się nad nim spokojnie. Czuł się natomiast okrutnie chory i aż mu dziwno było, że to idzie tak prędko. Dość długo leżał bez ruchu, tylko wargi mu się trzęsły, bo od czasu do czasu brały go dreszcze. Potem jednak oblała go nowa fala żaru i powtórnie pomieszały mu się myśli. A że to w gorączce, tak jak w jasełkach; widzi się coraz to inne rzeczy, czasem straszne, a czasem miłe, więc przyszło na niego teraz widzenie błogie.

Takie zaś było wrażenie, że już nie starczyło Lipieckiemu rozeznania, żeby sobie powiedzieć, że to jest złuda, ale był pewien, że Matka Boska naprawdę cud uczyniła i kazała go przenieść aniołom w mig do Kościana. Idzie oto szerokim lipowym gościńcem od miasta ku swej sadybie... Jest jesień i pogoda cudna. Liście, jedne czerwone jak płomień, drugie żółte, spływają cicho z drzew na ziemię, bo nie ma żadnego wiatru. Na dachach domów złoci się słońce. Lipieckiemu czyni się jakoś rzewliwie na duszy i radość zalewa mu serce. Pamięta, że był chory, ale teraz czuje się zdrów i wraca do dom. Widać już jego chałupinę za wiśniowym sadkiem na prawo ode drogi. Tymczasem przechodzi wedle stawu, po którym mimo jesiennego chłodu bobrują z sieciami chłopaki, a na brzegu stoi starowina proboszcz i pilnuje połowu. Przychodzi do niego chłop, całuje go w rękę, a ksiądz, spojrzawszy mu na twarz, mówi: – Bójcie się Boga, Lipiecki, a wyście się gdzie tak wymizerowali?

– Dobrodzieju – odpowiada – choróbsko opadło mnie na Saksach, alem z pomocą bożą wyzdrowiał.

A na to ksiądz:

– Oj! – powiada – podziękujcie Matce Boskiej, bo śmierć na obczyźnie to zatrata nie tylko dla ciała, ale często i dla duszy.

– Prawda, prawda, prawda!

Tu wśród widzeń zasnął na dobre. Ale w godzinę albo i w dwie później drgnął nagle i zbudził się. Wydało mu się teraz, że przytomność całkiem mu

wróciła. Tylko czoło miał zlane zimnym potem i poczęły mu ziębnać ręce, nogi i nos. Ogarnęło go niewypowiedziane osłabienie. Usłyszał jakby dalekie dzwony, choć nawet myszy przestały chrobotać i była cisza zupełna. Pomyślał wtedy, że zaczyna konać.

Jeszcze raz chciał się przeżegnać – i nie mógł. Dalekie dzwony jęczały żałośniej i żałośniej. Lipiecki patrzył, leżąc na wznak, osłupiałymi oczyma w mrok, który w głębi izby gęstniał, czynił się coraz ciemniejszy i zdawał się toczyć jak chmura ode drzwi ku środkowi izby.

Jednak po chwili nieruchome już prawie źrenice chłopca rozszerzyły się z trwogi i twarz pobladła mu jak płótno, albowiem w baraku poczęło się dziać coś nadzwyczajnego i złowrogiego zarazem.

Oto ów mrok począł zaczynać się w sobie, skupiać i tworzyć jakowąś postać: zaokrąglił się z wierzchu niby w potworny łeb, rozszerzył się niżej w ogromny tułów, a od tego tułowia wyciągnęły się dwie długie, ciemne smugi jak ręce.

Lipieckiemu włosy stanęły dębem na głowie, a zęby poczęły szczekać, albowiem obaczył teraz wyraźnie, że z całego tego mroku, który zalegał głąb baraku, zrobił się czarny, straszny wielkolud – i że wielkolud ten idzie ku niemu.

Jakieś niepojęte, martwe przerażenie napełniło powietrze. Powiało mrozem jak od kupy lodu.

A potwór zbliżał się, ale posuwał się tak wolno, jak posuwają się ślepi. Jakoż istotnie w jego ohydnych łbie nie było wcale oczu – i tylko ręce wyciągał coraz dalej przed siebie, macając jednostajnym, okropnym ruchem po tapczanach, jakby szukał, gdzie jest ta żywa ludzka dusza, po którą przyszedł.

– Jezusie, Maryjo!... – krzyknął Lipiecki. – Śmierć! śmierć!

I w tej chwili jeszcze jedna, jasna jak błyskawica, myśl rozświeciła mu krzepnący mózg, że to nie polska śmierć przy jasnym ognisku domowym, przy splakanych twarzach, przy gromnicy i litanii, ale obca, czarna i lodowata pruska śmierć, która dławi człowieka tak niemiłosiernie jak kat i która jest zgubą bez nadziei i nocą bez światła, otchłanią bez Boga.

Więc w ostatniej toni i rozpaczy zwrócił jeszcze spojrzenie ku obrazowi i począł wołać gasnącym już i przerywanym przez śmiertelną czkawkę głosem:

– Panienko Najświętsza!!...

– Ratuj!...

– O rety!...

– Ratuj!...

Czarne, straszne ręce szukały już na najbliższym tapczanie.

Ale wówczas stało się coś takiego, czego żadne ludzkie słowa dobrze nie wypowiedzą.

Płomyk od lampki przed obrazkiem oderwał się nagle i począł płynąć jak złota pszczoła przez powietrze ku potworowi.

Lecz rósł z każdą chwilą; w jednym mgnieniu oka z płomyka stał się płomieniem, rozpalił się, rozżarzył, zbiełał. Z boków strzeliły mu skrzydła, nad skrzydłami podniosła się głowa jakby w koronie i zmieniony w Białopiórego Ptaka rzucił się błyskawicą na straszego Czarnoboga. I ujrzał Lipiecki ogromną bitwę światła z ciemnością.

Zmora skreśliła się niby wąż, w którym utkwilo żelazce. W mrocznym cielsku zasyczało coś jak rozpalona stal w wodzie, rozległo się chrapanie i charczenie. Już Ciemność wije się, rozdziera, a Orzeł razi ją, zatracą, niszczy, wypala. Zwalił się wreszcie czarny kadłub, runął łeb, rozkruszyły się plugawe ramiona, po czym opadło wszystko i rozwiało się prochem marnym.

Cały barak zalało światło tak jasne, jak słoneczne.

A gdy Srebrzysty Ptak zmienił się na powrót w płomyk i przyleciał znów złotą pszczołką przed obraz, Lipiecki spał już głębokim snem i w ciszy, jaka zalegała barak, słysząc było tylko jego spokojny, równy oddech.

W kilka dni później wrócił chłop w dobrym zdrowiu do rodzinnej wioski przez całą potęgę zimy – i w mieście, i po chałupach – rozpowiadał, co mu się owej nocy przygodziło. Więc niektórzy dziwili się wielkim dziwem, inni zaś myśleli, że to wszystko widział w gorączce albo we śnie. Jednakże proboszcz starowina wierzył głęboko, że to był cud prawdziwy. Pewnej niedzieli powiedział nawet ludziom w kościele z ambony, że płomyk sprzed oblicza Bogarodzicielki potrafi się na Jej rozkaz w orła przemienić i że może nieraz jeszcze obroni chłop polski przed niejednym Czarnobogiem i niejedną zmorą śmiertelną.

WE MGLE

Podczas burzliwego roku w Warszawie naprzód przyszedł do Zawady list, tak ogromnie smutny i stroskany, jak smutne i pełne troski jest ubogie, wdowie życie. Brzmiał on, jak następuje:

„Kochany Marianie! Piszę do Mariana z wielką i nieśmiałą prośbą, czyby nie był tak dobry, zamiast tych stu pięćdziesięciu rubli, które mi Marian wypłaca od kapitału, wziąć moich chłopców na jakiś czas do Zawady. Bóg widzi, że robiłam, co mogłam, ale już mi ręce opadają. Strajk ciągle trwa w szkołach rządowych, a o prywatnych, które są drogie, nie mogę myśleć dla jednego nawet, a cóż dopiero dla obu. Marian wie, z jakim ja wysiłkiem wiązałam od śmierci męża koniec z końcem, ale wszystko ma swoją granicę. Gdybym nie potrzebowała myśleć o chłopakach chociaż do lata, to za te czterysta rubli emerytury, które mi po mężu wypłaca prokuratoria, jeszcze bym jakoś z Julką wyżyła, ale we czworo – ani sposób! Tu co chwila robią się rozmaite nowe strajki, a z tego drożyzna, jakiej jeszcze nigdy nie bywało. Po wyjeździe chłopców najęłabym w tym samym domu jeden pokój z kuchenką, to by zaraz pół kosztu na mieszkanie odpadło. Mówią niektórzy, że od lata i szkoły rządowe będą polskie, a i ja myślę, że może Bóg zmiłuje się nad nami. Gabriel jest bardzo zdolny, a Felicjan miał już tylko rok do skończenia. Obaj zarabiali trochę lekcjami, ale teraz to się stanowczo urwało. Wiem, co Marian pomyśli: że chłopcy rozpróżniaczą się na wsi. Ale oni wezmą ze sobą książki – a zresztą czyż nie gorzej rozpróżniaczą się w Warszawie? Jeśli szkoły rządowe będą od lata polskie, to łatwiej będzie o uwolnienie od wpisów i o stypendia, bo przecież swój swego prędzej zrozumie i wspomóż. Adwokat Krasucki, którego Marian zna, mówił parę dni temu, że wkrótce wszystko się zmieni. Dajże to, Boże miłosierny, gdyż naprawdę już oddychać trudno. Chłopcy tymczasem mogliby w Zawadzie pomagać czy to w rachunkach, czy przy dozorze ludzi. Może i w okolicy znalazłoby się dla nich jakie zajęcie, a jeśli nie, to w każdym razie będzie im w Zawadzie zdrowiej niż tu – i bezpieczniej. Młodym potrzebne jest powietrze; obfity posiłek i sen, i spokój – zwłaszcza Gabrielowi, który jest bardzo delikatny i nerwowy, a w mieście tego wszystkiego mu brak, gdyż na lepszą kuchnię mnie nie stać, a co do spokoju i spoczynku, to jeszcze gorzej. Oni obaj ciągle chodzą na jakieś narady z kolegami, z których często wracają ogromnie późno. W Zawadzie będą się mogli przynajmniej dobrze wysypiać, bo co do tego, co mi ktoś mówił, że w domu u Mariana zaczęło straszyć, to chłopcy z tego się śmieją; Feliś także nie bardzo jest silny, ale szczególnie na Gabriela trzeba uważać. Przepraszam kochanego Mariana, że nie wiedząc jeszcze, czy moja prośba na co się przyda, już z góry tak wszystko wypisuję, ale ośmiela mnie do tego ufność w poczciwe serce Mariana i jego dla nas życzliwość. Co do procentu, to sta-

nowczo nie trzeba mi go przysyłać, bo ja przecie rozumiem, że w Zawadzie złota się nie kopie. Niech tylko Marian chłopców teraz przygarnie, a będę mu wdzięczna do śmierci.

Wreszcie powiem już szczerze, że choćbyśmy mieli za co żyć, to i tak wołałabym, żeby chłopcy wyjechali teraz z Warszawy. Tu jakieś dziwne wiatry wieją – Bóg wie, czego nawiewają, zwłaszcza do młodych głów. Wahałam się, czy wszystko otwarcie napisać, żeby Mariana nie zrazić, ale trzeba powiedzieć prawdę. Chłopcy są poczciwi i mają złote serca, ale z wielkim bólem wyznaję, że oni jakoś inaczej już myślą, a pozornie to nawet inaczej czują niż my. Ja się na nich nie skarżę, niech mnie Bóg broni, tylko powiadam, jak jest i jakie jest to dzisiejsze pokolenie, które musiało chodzić do rządowych szkół. Oni opierają się wpływowi szkoły z całej duszy, a jednak coś w nich wsiąkło jakby obcego – a jak potem przyszły jeszcze te wypadki i te wszystkie pojęcia i przekonania, naniesione Bóg wie skąd i przez kogo, to się dzieciom całkiem głowiny pozawracały. Wiem, że inteligentniejsi otrząsną się z tego prędzej-później, zwłaszcza tak zdolne chłopcy jak moje, ale tymczasem niech się Marian nie gniewa, jeżeli mu się czasem wyda, że im nie chodzi już tak oto, o co nam chodziło i z a co wylało się tyle krwi i łez. Jak przyjdzie między nami do takiej rozmowy, to i ja przekonywam, ile potrafię, a potem w nocy modlę się za nich i popłaczę trochę do poduszki. Ale Marian – to co innego. Marian był w Czechach na praktyce, widział świat i ludzi, więc potrafi w niejednym ich przekonać i w niejednym im zaimponować – byle cierpliwie, byle łagodnie, bo to dzieci. Oj, co za okropne czasy przyszły, mój Marianie, co za bieda! I przedtem było źle, ale dawniej, jeśli się nieszczęście z dziećmi zdarzyło, to p r z y n a j m n i e j d l a O j c z y z n y, a teraz można je stracić dla byle czego – i wtedy żadnej już nie ma pociechy. Więc ja takie i z tej przyczyny proszę, żeby Marian Felisia i Gabriela na ten najgorszy czas przygarnął – i po ojcowsku ich w tym co potrzeba oświecił. Dobrocią można ich do wszystkiego doprowadzić, a ja się będę modliła, aby Bóg dał Marianowi jak najlepsze zdrowie. Mała Julka ręce stryjaska całuje, a ja proszę jeszcze, w razie gdyby były mrozy, o przysłanie jakich ciepłych rzeczy, bo chłopcy mają tylko szynele. Dziękuję Marianowi z góry za wszystko i pozostaję z wdzięcznością.

Przywiązana
Zofia Nowicka.

PS. Niech Gabriel przeczyta w Zawadzie Marianowi swoje wiersze. Ja, jako matka, nie mogę o nich wydawać sądu, ale Krasucki także powiada, że chłopiec ma ogromny talent”.

Marian Nowicki, właściciel Zawady, był to starzejący się kawaler, zasiadający na wsi, zapracowany na małym i mało intratnym kawałku, trochę egoista, a zresztą człowiek niezły i niegłupi. Dla bratowej, o której mawiał: „Zacna, ale egzaltowana kobieta” – żywił w głębi duszy nadzwyczajny, lubo trochę bezwiedny szacunek, a o jej ciężkim życiu i o niej samej myślał zawsze z pewnym rozczuleniem. Byłby się może z nią po śmierci brata nawet ożenił, gdyby nie to, że już był zbyt ociążały i bał się ciężaru nad siły, zmiany

życia, a nawet i tych zabiegów, które są konieczne przed małżeństwem. Rzadko też bywał w Warszawie, trochę z powodu kosztów, a trochę z obawy, aby mu postać bratowej, mająca jeszcze mimo siwiejących włosów jakiś paniński urok, nie napędzała „niepraktycznych” myśli do głowy. Kochał jednakże szczerze małą Julkę. Dla chłopców, których zwał basałkami, był dość obojętny.

Po przeczytaniu listu naprzód skrzywił się, potem zatroskał, a w końcu wzruszył – i począł chodzić po pokoju namyślając się, czy przystać na przyjazd chłopaków, czy też – po wyszukaniu przyzwoitych pozorów – odmówić. Nie odpowiedział jednak tego samego dnia, gdyż odwołano go do furmanek, którymi wyprawiał drzewo do pobliskiej fabryki giętych mebli. Następnego dnia zeszedł mu także na rozważaniu sprawy i namyśle – i dopiero trzeciego odpisał, co następuje:

„Kochana Bratowo! Niech Feliś i Gabriel przyjeżdżają. W przyszły czwartek konie będą na stacji. Co do procentu, o którym Bratowa pisze, to przecie ja tu za mieszkanie nie płacę, więc i wynajmować go nie mogę – a za wikt chłopców także nie wezmę, bo Zawada to nie restauracja. W domu jest dość miejsca, a co sam jadam, tym się z nimi podzielę. Nie miałbym też sumienia, gdybym się w taki sposób z Kochaną Bratową liczył. Prawda, że o gotówkę trudno, ale w najgorszym razie to się z wiktuałów coś niecoś przy okazji podeśle. Miło mi będzie chłopców na najcięższe czasy przygarnąć, a jeszcze milej Kochanej Bratowej wygodzić.

W zimie przy gospodarstwie roboty nie ma prawie żadnej, a w okolicy przepytam, ale też wątpię, bo teraz już i tu pokazują się jakieś zakazane figury, które ludzi bałamuca i o strajkach im gadają. Wieczory obecnie długie, więc niech chłopcy wezmą książki i sami się uczą, ażeby jak przyjdzie co do czego, mogli pozdawać egzaminy. Pomyślę i o tym, żeby im oczy na różne rzeczy otworzyć, ale to sobie wymawiam, żeby ani mnie, ani ludziom głowy nie zawracali, bo na wsi mamy co innego do roboty. Niech Kochana Bratowa będzie spokojna, że znajdą tu opiekę i serce, a co do zdrowia, to dom jest suchy i ciepły. O strachach też nieprawda, bo straszy nie w domu, ale jakoby w lesie, a i to tak tylko ludzie bają. Zresztą takie liberaly w strachy nie powinny wierzyć. Śniegi u nas duże i sanna dobra, ale że spadły na nie zamarzniętą ziemię, jest obawa, aby oziminy nie wyprzały. Daj Boże wczesną wiosnę, to i Bratową z Juleczką zaproszę do Zawady, tymczasem całuję ręce Kochanej Bratowej, a moją małą gospodynię ściskam serdecznie.

Przywiązany
Marian Nowicki.”

Następnego dnia po tej odpowiedzi Felicjan i Gabriel znaleźli się na kolei, którą jechało się do Zawady. Godzina była późna, gdyż pociąg wychodził niewiele przed północą. Na sali panował jednak duży natłok, a wagon trzeciej klasy, do którego dostali się chłopcy, zapchany był podróżnymi, po największej części Żydami. Obaj Nowiccy wybierali się w drogę z największą niechęcią, która odbijała się wyraźnie w ich zmęczonych twarzach. Woleliby byli sto razy pozostać w Warszawie, aby w dalszym ciągu naradzać się i działać. Ale zrozumieli, że była to konieczność, którą stwierdzał w okrutny sposób widok wychudzonej i stroskanej twarzy matki. Przy tym, gdy od kilku dni jakieś

dziwne i plugawe figury jeły chodzić za nimi po mieście i przechadzać się pod ich mieszkaniem, matka poczęła tak rozpaczliwie nalegać na ten wyjazd, że nie było możliwości zwlekać dłużej.

Ale właśnie ten zbieg biedy domowej z niebezpieczeństwem z zewnątrz i ten przymus, któremu trzeba się było biernie poddać, były dla ich hardych dusz czymś jakby upokarzającym. Towarzystwo, w którym jechali, nie raziło ich w teorii bynajmniej, czuli jednakże, że między ich własną wewnętrzną egzaltacją a tym napełniającym wagon ohydny szwargotem, którego treścią mogły być tylko zyski pieniężne, leży przepaść. Odrapane i brudne wnętrze wagonu, mdłe światło okopconych olejnych lamp i duszna atmosfera napełniały ich na wpół świadomym, ale gnębiącym poczuciem lichoty życia. Z tych wszystkich powodów noc zapowiadała im się męcząca i nieznośna. W tłoku, hałasie i zaduchu nie mogło być mowy o śnie. Poczęli więc rozmawiać o tym, co będą przez pół roku robili w Zawadzie, a w rozmowie tej gorycz splatała się z ironią. Stryj oto wymówił sobie, aby nie zawracali głowy ani jemu, ani ludziom, a jednak sam nie omieszka na pewno rozwieszać przed nimi rozmaitych spłowiałych chorągwi i jałowych ideałów. Na tę myśl rodził się w nich bunt niepohamowany i tym dokuczliwszy, że zarazem podobny jakby do wyrzutów sumienia, albowiem pamiętali, że takie same chorągwie rozwieszała ze łzami w oczach przed nimi ich matka. Że zaś kochali ją ogromnie, więc zdawało im się, że buntując się słusznie, buntują się jednakże przeciw tym łzom. I to była nowa, niewypowiedziana gorycz. A oprócz tego tylko ich mózgi pod wichrem nowych doktryn odjęły się dawnym ideałom, ale gdzieś tam w głębi i na dnie serca była ukryta, jak owad w kokonie, mimowolna dla tych ideałów cześć i jakaś wobec nich utajona trwoga, podobna do trwogi, jakiej ludzie doznają wobec zaświatowych duchów albo świętokradcy nocą w kościele. I od tego nie mogli się uwolnić. Nie czuli się też wcale szczęśliwi. Zdawało im się, że w głowach ich pali się światło jasne i jedynie prawdziwe, ale że nie promieniuje, nie rozświeca im życia i że chodzą jakby w zmierzchu. Widywali wszakże kolegów z takimi samymi latarkami w głowach, ale były to po części tępaki – prawdziwe gramofony, w które nagadano radykalnych frazesów – a po części charaktery niezmiernie liche. Wprawdzie i w nich obu te stany duszy były tak zamacone i niewyraźne, że nie umieli się nawet wzajem o nich rozmówić – odczuwali wszelako coś jakby wielki niepokój, który nie opuszczał ich ani na chwilę, a obecnie towarzyszył im w drodze do Zawady.

Noc wlokła się: godzina płynęła za godziną, przynosząc coraz większe utrudzenia. Pograżone w półmroku, w półświatle postacie ludzkie zaczęły się kiwać. Wrzaskliwy z początku szwargot cichł i ustawał. Zrywał się tylko znów na chwilę wówczas, gdy przez zapocone okna błysnęły latarnie stacyjne i gdy jedni podróżni wychodzili z wagonów, drudzy, poprzedzani falą zimnego powietrza, wchodzili i zajmowali miejsca. Te fale trzeźwiły chłopców, którzy nie mogli wprawdzie spać, ale których zmysły pod wpływem znużenia i jednostajnego odgłosu maszyny poczęły dębieć. W ten sposób przebyli sporą ilość stacyj, większych, pełnych gwaru, i mniejszych, tak cichych, że prócz nawoływań urzędników kolejowych, chodzących po peronie, i świstawki konduktora – nic nie przerywało milczenia. Nareszcie jednak okna z czarnych poczęły się robić sine, a potem blade. Na świecie wstawał ocieźale zimowy, niewyraźny, posępny dzień. W wagonie wychylały się z cienia mroczone

katy i siedzący w nich z pochylonymi głowami ludzie. Zakopcone lampy pogasły.

– Gabriel, widno już! – ozwał się Felicjan.

– I niedaleko – odpowiedział młodszy.

– Bardzoś zmęczony?

– Dosyć. A ty?

– Ciasno było i niewygodnie.

Poczęli przecierać powieki, a następnie spoglądać to na się wzajem, to na swoje tobołki, umieszczone w siatkach nad głowami. Obaj mieli twarze zmięte, podkrążone oczy i nieco gorączki, jak zwykle bywa po bezsennie spędzonej nocy. Jednakże gdy minęli przedostatnią stację, wagon opustoszał prawie zupełnie. Tylko na przeciwległej ławce siedział jakiś stary człowiek z twarzą suchotnika, który kaszlał okrutnie przez całą noc, a obecnie otrząsnął się z odrętwienia i począł z nimi rozmawiać. Po zwykłych początkowych pytaniach i odpowiedziach rozmowa rychło przeszła na ostatnie wypadki warszawskie i krajowe. Stary człowiek potępiał niektóre objawy bardzo surowo, chłopcy, zaś poczęli ich bronić, skutkiem czego odsłonił się ich sposób myślenia. Ale nie zaniepokoił się tym, albowiem z zapadniętych, mistycznych oczu suchotnika patrzyła nie zdrada, lecz jakby głęboka melancholia człowieka, który jest u brzegu życia i który w dalszą, nieznaną drogę wybiera się w trosce i niepokoju. Jednakże sam on po pewnym czasie zmienił przedmiot rozmowy – a następnie dowiedziawszy się, dokąd chłopcy jada, oświadczył im, że pana Nowickiego i Zawadę zna od dawna, a jeszcze lepiej zawadzki las, gdzie w sześćdziesiątym trzecim roku odbyła się bitwa, a raczej zagłada powstańców, otoczonych przez siły dziesięćkroć większe.

Chłopcy w czasach wakacyjnych słyszeli nieraz o tej bitwie, ale niedobrze, gdyż stryj ich nie był wówczas w domu, tylko wraz z rodzicami na emigracji w Czechach, gdzie oddano go na praktykę gospodarską. Teraz dopiero usłyszeli o niej dokładnie i z tego powodu szczegóły, które opowiadał podróżny, wydały im się czymś ogromnie żywym. Czuć w nich było jakby zapach prochu i krwi. Mówił, że wskutek wilgotnego dnia strzały karabinowe i armatnie wówczas zadymiły cały borek, iż stało się w nim ciemno. Powstańcy potracili się z oczu i, błądząc pojedynczo lub niewielkimi kupkami po omacku, z krzyków tylko poznawali, gdzie kogo mordowano. W końcu wybito też prawie wszystkich. Na chłopców dziwne wrażenie robiło to, że podróżny, który widocznie brał udział w bitwie, choć o tym wyraźnie nie wspominał, opowiadał o całej tej tragedii spokojnie, głosem zupełnie beznamiętnym, bez skargi na dowódcę, który pozwolił się otoczyć – i bez żalu, a nawet jakby z tęsknotą za rzeczami, które przeszły i zasunęły się w cień przeszłości. Zdziwienie ich wzrosło jeszcze bardziej, gdy w końcu oświadczył, że były to jednak czasy od dzisiejszych lepsze, a zwłaszcza szlachetniejsze.

– Dlaczego? – zapytał Felicjan.

– Naprzód dlatego – odpowiedział wolno i z naciskiem podróżny – że drzewo nie próchniało od środka, po wtóre dlatego, żeś wiedział, kto swój, kto cudzy, a wreszcie, że ludzie wiedzieli, dla jakiej sprawy i z czyich rąk giną.

Chłopcy chcieli rozpocząć spór, ale on wśród nowego napadu kaszlu machnął tylko ręką na znak, że z góry wie, co chcą powiedzieć, a potem odetchnął głęboko, popatrzył na nich jakimś szczególnym wzrokiem i znijwszy głos zapytał:

– Powiedzcie mi, czy wy się nigdy nie boicie?

– Czego?

– A choćby tych, co leżą po wszystkich polach, lasach i ot tu także, w Zawadzie, pod chojarami?

Nastało milczenie. Felicjan i Gabriel spojrzeli po sobie ze zdumieniem, a następnie oczy ich zwróciły się na towarzysza podróży, ale on widocznie wyczerpał się kaszlem i rozmową, albowiem oparł głowę na worku stojącym w kącie ławki – i przymknął powieki. Wychudzona i zmięta jego twarz podobna była do twarzy nieboszczyka. Przykre i dziwne wrażenie, jakie uczyniły na chłopcach ostatnie jego słowa rozproszył dopiero świst lokomotywy.

Chory towarzysz widocznie jechał dalej, bo nie poruszył się i nie otworzył oczu, wysiedli więc bez pożegnania. Na stacji czekały już konie z Zawady. Ale pokazało się, że stary furman pana Mariana przyjechał z całym rejestrem sprawunków, a przy tym musiał pilnować furmanek, które przywiozły drzewo do fabryki giętych mebli. Z tego powodu oznajmił paniczom, żeby poczekali „z godzinę, ze dwie” albo żeby, jak to już nieraz robili, sami powieźli się do Zawady, on zaś po załatwieniu sprawunków wróci z furami po drzewie. Paniczom wcale nie śpieszyło się do Zawady, ale po całonocnym kołataniu się w wagonie jeszcze mniej chciało im się czekać bez końca w nędznym miasteczku, oznajmili więc, że wolą jechać sami. Jakoż w kwadrans później, napiwszy się herbaty, ruszyli w drogę.

Koło stacji i fabryki było trochę ruchu, ale samo miasteczko, leżące o wiorstę od stacji, nie rozbudziło się jeszcze całkiem, gdyż godzina była wczesna. Na rynku przejechali koło kilku fur chłopskich, zaprzężonych w chude konie z torbami uwiązanyymi u głów; pod ścianami domostw przesuwaly się tu i ówdzie pojedyncze postacie, gdzieniegdzie otwierano dopiero skrzypiące drzwi domów i okiennice sklepów. W senną szarość dnia i wilgotne powietrze wpadał głos sygnaturki – uporczywy, ale jakby zmartwiony nędzą lichych domów i marnością tego życia, do którego budził ociążałą mieścinę.

W ulicy, na którą wjechali z rynku młodzi Nowiccy, pustka była jeszcze większa – i psy poszczekiwały jak na wsi. Minęli ją wkrótce i znaleźli się na gościńcu wiodącym do Zawady. Śnieg leżał duży na polach i na drodze, ponieważ jednak była odwilż, więc zmiękł i płozy sań sunęły się bez szelestu. Dzień uczynił się już zupełny, ale mglisty. Z bliska można było widzieć dobrze drzewa przydrożne, natomiast dal majaczyła jakby przesłonięta muślinem. Miejscami gęstsze tumany wstawaly na rozległych, białych polach i wlokły się ku drodze, długie, leniwe, popychane nie wiedzieć jaką siłą, gdyż nie było żadnego wiatru. Chwilami zakrywały całkiem okolice, to znów rzedły odsłaniając bliższe zadmy śnieżne, zasnuite krzaki i polne grusze, śpiące na dalekich miedzach pod okiścią. Kiedy niekiedy rozlegało się w górze stłumione, smutne krakanie wron lecących stadami od lasu ku miasteczku.

Smutek był jednak nie tylko w tych głosach, ale wszędy – w posępnym świetle dnia, w śnieżnych, milczących rozłogach, we mgle i w duszach chłopców. Wydało im się, że z wrzącego życiem, walką i upojonego nadzieją zwycięstwa otoczenia wysłano ich w jakąś bezkresną krainę odrętwienia i śmierci, która zniemrawi ich, ubezwładni, zmorzy i uśpi. Ale właśnie dlatego ów przenikliwy smutek zmienił się w taki sam gorzki wewnętrzny protest, z jakim wyjeżdżali z Warszawy, a następnie w taki sam ostry bunt przeciw tym warunkom, w jakich musieli żyć – i przeciw tej konieczności, która ciągnęła

ich jak na powrozie tam, dokąd nie chcieli iść. Opanowała ich silniej niż kiedykolwiek myśl, która stale tkwiła w ich głowach, że jeśli to wszystko, co się nazywa dzisiejszym życiem ludzkości i jego światłem przewodnim, nie da się przewrócić i zdeptać, to lepiej niech przepadnie samo życie. Poza tym zadaniem istniały w ich pojęciu tylko rzeczy marne lub zmurszałe, równoznaczne z pleśnią i zgnilizną. Po bezsennie spędzonej nocy wpadli ze zmęczenia jakby w gorączkę, która potęgowała tę wewnętrzną rozterkę. Próbowali o tym rozmawiać, ale im nie szło. Felicjan bowiem powoził z kozła i musiał uważać na drogę. Nie przeszkadzało mu to jednak szarpać się wewnątrz i protestować przeciw wszelkim wiązadłom, które tak unieruchamiają duszę ludzką u pewnych brzegów, jak łańcuch kotwicy unieruchomia lotną łódź w przystani.

Było zaś to targanie się tym cięższe, że od tych pól zimowych, od tej mglistej przestrzeni, od tej białej pustki, od grusz śpiących na miedzach i od tego okólnego smutku coś szło i wołało na obu chłopców jakby po imieniu, coś ogarniało ich jak swoich, coś wchłaniało ich w siebie. Gabriel, który był wrażliwszy od Felicjana, odczuwał to mistyczne jakieś prawo przynależności silniej, a nie zdając sobie z niego jasno sprawy walczył z nim jednak uparcie i męczył się tym więcej oporem. Wreszcie wyczerpał się. Myśli i wrażenia poczęły mu bezładnie napływać do głowy, drgać, zbiegać i rozbiegać się, mieszać i przeskakiwać się nawzajem. W uszach huczał mu turkot kół wagonu, oddech lokomotywy, szwargot podróżnych Żydów, a w te głosy wplatała się rozmowa ze starym suchotnikiem. Słyszał teraz wyraźnie jego kaszel i jego opowiadanie. Oto wjeżdżają właśnie w ów zawadzki borek, niegdyś zadymiony od wystrzałów, pełen nawoływań się, krzyków i jęku. A teraz jak tu cicho i mglisto! Zdawałoby się, że tu nikt nigdy nie krzyczał, prócz wron i pastuchów – i nikt by się nie domyślił, że tu leżą powstańcy.

A jednak ten dziwny suchotnik mówił, że to były szlachetniejsze czasy, że ludzie wiedzieli, za co giną. A dziś co? – czy to niby nie wiedzą, czy dusza ludzka nie rozokoliła się dziesięć razy szerzej? Tamto była przecie wojna o jakąś jedną dość ciasną sprawę, a teraz chodzi o cały świat i o wolność tak rozlewną i bezbrzeżną jak morze. Ej! stare dzieje niech śpią, a stare idee niech się nie włączają jak zmory po świecie. „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe...” Dziwny wszelako ten zakaszlany pan ze swymi pytaniami: „Czy wy się nie boicie tych, co tam leżą pod chojarami?” Jakie głupstwo! Są czasem wrażenia niewy tłumaczone i męczące. Od niczego się łatwo nie odchodzi, a gdy się coś przyrośniętego odcina, to zawsze boli, zwłaszcza gdy i ktoś drugi na tym cierpi. Każdy miewa też chwili jakiegoś niepokoju – i... dobrze, że się ten borek już kończy, bo takie wspomnienia, jakie się z nim łączą, to także swego rodzaju zmora.

Tu nagle ocknął się, albowiem sanki stanęły.

– Feliś, czemuś stanął? – zapytał.

Ale głos jego zabrzmiał we mgle jakoś dziwnie, jakby mówił ktoś obcy i z daleka.

A brat zwrócił ku niemu twarz i odrzekł równie nieswoim, zająkliwym głosem:

– Nie wiem... konie sta... nęły...

Nastąpiła chwila ciszy, tylko konie zaczęły przysiądać na zadach i chrapać głośno.

Byli już u samego wylotu zawadzkiego borku i w pierwszej chwili nie ujrzeli nic, co by dać mogło powód do niepokoju, a tym bardziej do strachu, a jednak w mgnieniu oka włosy zjeżyły się im pod czapkami, zęby poczęły szczełkać, a źrenice rozszerzyły się z trwogi.

Jakieś niepojęte przerażenie napełniło las, powietrze i mgłę, której białawy, wydłużony obłok przesunął się w poprzek drogi, wzdłuż sosen.

Nastąpiła chwila zakrzepłej, trupiej ciszy.

A wtem z owej mglistej otoczy wychylił się oddział kosynierów.

Szli chłopcy w sukmanach, z dragami osadzonych sztorcem kos na ramionach. Przechodzili polem, tuż na skraju lasu i niedaleko od sanek. Ale kroki ich, lubo strudzone i ciężkie, nie wydawały najmniejszego szelestu. Nie było słycać ni brzęku kos, ni gwaru rozmowy. W pierwszym szeregu szedł ksiądz w kapturze na głowie i z krzyżem w ręku. I on, i ci, których wiódł, mieli głowy pochylone na piersi i przeciągali nie jak żołnierze w pochodzie, ale raczej tak, jak ludzie idą na procesji lub za pogrzebem. Zdawało się, że wcale nie widzą sanek i nie słyszą chrapiących koni, albowiem żaden nie odwrócił ku nim twarzy. I w tej obojętności, w tych pochylonych postaciach, w tym zaświatowym milczeniu było coś tak martwego, że patrzącym na nich chłopcom ani na chwilę nie powstała w zlodowaciałych mózgach myśl, że to mogą być ludzie żywi, nie zaś widma zmarłych, którym jakaś tajemnicza siła kazała wrócić na świat i iść przez śniegi – w pośmiertnym zamyśleniu.

A jednak zjawa miała przeraźliwe pozory rzeczywistości. Tuż po kosynierach przejechał martwych na koniu, widocznie dowódca. Chłopcy widzieli, że biegł przy nim pies, który zdawał się wietrzyć po śniegu. Po czym począł przeciągać oddział strzelców z bagnetami na lufach karabinów i z chorągwią, w której zwisłych fałdach zaginał się orzeł biały. Ci szli również powolnie, zatopieni w ciszy i śmiertelnym smutku. Szereg za szeregiem przekraczał drogę leśną, a z nimi razem przetaczała się cicha, przezrocza mgła, ledwie przesłaniająca kształty widziadeł. Doszedłszy do krańca borku naprzód kosynierzy, a potem strzelcy zawrócili na rozległe pola i poczęli się oddalać, a zarazem stopniowo zacierać. Tuman, gęstszy przy ziemi, jał pokrywać od dołu ich postacie, tak że wkrótce tylko ramiona i głowy widoczne były nad białawą topielą; potem ostrza bagnetów i kos zamajaczyły jak ciemniejsze kreski w odległym oparze, a wreszcie wzięła ich w siebie dal milcząca – i śnieżna przestrzeń, i pustka polna.

Pęd powietrza rozbudził chłopców jak ze snu. Nie było wcale wiatru, ale konie poniosły i pędziły w szalonym, dzikim biegu do Zawady. Felicjan dlatego tylko nie wypuścił lejców, że mu się dłonie zacisnęły konwulsyjnie. Nie zdołał jednak powstrzymać pędu i pochylony na koźle, na wpół przytomny, z oczyma w słup słuchał słów Gabriela, który targając go za ramiona powtarzał zdyszczanym, łkającym głosem:

– Feliś!... widziałeś?...

– Feliś! to krew woła!...

I nagle wybuchnął ogromnym płaczem.

Dopiero przed samą Zawadą potrafił Felicjan pohamować rozhukane konie. Chłopcy przyjechali bladzi, milczący, z gorączką i tajemnicą w oczach.

Ale na próżno pan Marian wypytywał się, co im jest i dlaczego konie przyszły w pianie. Usłyszał tylko odpowiedź, że przestraszyły się czegoś w lesie i poniosły. Bracia nie mówili przez kilka dni o zjawisku nawet ze sobą. Felicjan, który miał umysł trzeźwiejszy i bardziej badawczy, chodził czas jakiś głęboko zamyślony i wreszcie doszedł do przekonania, że to były zapewne ich własne wrażenia i uczucia, które jakąś tajemniczą i nie zbadaną jeszcze przez naukę drogą wyszły z nich i zmieniły się w widzialne zjawisko zewnętrzne. Ale myślał zarazem, że krew przelana, budząc takie uczucia i złudy, może istotnie woła, że nie wolno o niej zapominać.

Lecz widzenie zapadło jeszcze głębiej we wrażliwą duszę Gabriela; więc gdy go nieco ukoiliła zimowa cisza Zawady, począł pisać wiersz: „Do Matki Bolesnej”, pod nagłówkiem zaś umieścił jako motto następujące słowa Dawida:

„O Jeruzalem! Jeruzalem! jeśli cię kiedy zapomnę, niech będzie zapomniała prawica moja...”

3

Z KRAINY BAŚNI

BAJKA

Za górami, za morzami, w dalekiej krainie czarów, przy kolebce małej księżniczki zebrały się dobre wróżki ze swą królową na czele.

I gdy otoczywszy księżniczkę patrzyły na uśpioną twarzyczkę dzieciny, królowa ich rzekła:

– Niechaj każda z was obdarzy ją jakim cennym darem, wedle swej możności i chęci!

Na to pierwsza wróżka, pochylając się nad uśpioną, wypowiedziała następujące słowa:

– Ja daję ci czar piękności i mocą moją sprawię, że kto ujrzy twarz twoją, pomyśli, iż ujrzął cudny kwiat wiosenny.

– Ja – rzekła druga – dam ci oczy przezrocze i głębokie jak toń wodna.

– Ja dam ci powiewną i wysmukłą postać młodej palmy – ozwała się trzecia.

– A ja – mówiła czwarta – dam ci wielki skarb złoty, dotychczas w ziemi ukryty.

Królowa zamyśliła się przez chwilę, po czym, zwróciwszy się do wrózek, tak zaczęła mówić:

– Piękność ludzi i kwiatów wędnie. Urocze oczy gasną wraz z młodością, a i w młodości często zaćmiewają się łzami. Wicher łamie palmy, a wiatr pochyla wysmukłe postacie. Złota kto nie rozdziela między ludźmi, ten budzi ich nienawiść, a kto je rozdzieli, temu pustka zostaje w skrzyni. Przeto nie-trwałe są wasze dary.

– Cóż jest trwałego w człowieku i czymże ty ją obdarzysz, o królowo nasza?
– pytały wróżki.

A na to królowa:

– Ja jej dam dobroć. Słońce jest wspaniałe i jasne, ale gdyby nie ogrzewało ziemi, byłoby tylko martwo świecąca bryła. Dobroć serca jest tym, czym ciepło słońca: ona daje życie... Piękność bez dobroci jest jako kwiat bez woni albo jak świątynia bez bóstwa. Oczy mogą podziwiać taką świątynię, ale dusza nie znajdzie w niej ukojenia. Bogactwo bez dobroci jest piastunką samolubstwa. Nawet miłość bez dobroci jest tylko ogniem, który pali i niszczy.

Wiedźcie, że wasze dary mijają, a dobroć trwa; jest ona jak źródło, z którego im więcej wody wyczerpiesz, tym więcej ci jej napłynie. Więc dobroć – to jedyny skarb niewyczerpany.

To rzekłszy królowa wróżek pochyliła się nad śpiącą dzieciną i dotknawszy rękami jej serca rzekła:

– Bądź dobrą!

SABAŁOWA BAJKA

Siedliśmy wokół ogniska wsłuchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach dzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą pomarszczoną twarz, podobną zarazem do głowy starego sępa i do twarzy Milтона. Chwilę popatrzył szklanymi oczami w ogień – tak zaczął opowiadać:

„Prosem piknie wasych miłości, raz seł chłop ze świdrem i rąbanicą do Nowego Targu na siacie. Jakoś za Poroninem stowarzysła się z nim stara baba. Chłop, ze był mądry gazda, poznał Śmierć i zara myśli, jako się jej pozbyć. Wzion wreście wiercić dziurę do wirby, wiercił, póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

– Czego patrzys? – pyta Śmierć.

– Chcesz uznać, to sama zażrzyj.

Zażrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic – a bez ten cas ociosał se chłop rąbanicą bukowy kołek.

– Nie widzę nic – powiada Śmierć.

– Wleż całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlażła całkiem, zatkał ci ją chłop – prosem piknie – bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poseł.

Az tu rok po roku idzie, chłop zyje i zyje; ludziska przestali umierać; zajażiło się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wsędy, ze cłek koło cłka stał, jako smereki stojom w borze. Chłopisko się zestarzało, bieda pocena go gnieść, robić już nie mogło. Naprzykrzyło mu się w ostatku żyć, poseł i odetkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć – prosem piknie – skoczy, jak weźmie kosić – w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tyła się luda wykopyrtło, ze i chować gdzie nie było. Przychodzi wreszcie Śmierć do jednej gaźdżiny wdowy – siedmioro sierot u niej – i bierę ją. A tu dzieci kiej nie zacnom lamentować:

– Nie bier matki, nie bier matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powiada:

– Panie Boze, jakoze mnie matkę brać, kiej dzieci tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Bóg powiada tak:

– Ja w tych rzeczach nie gazda, jeno Pan Jezus gazda. Idźze do Pana Jezusa, niech ci ta powie, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powiada:

– Panie Jezu, jakoze mnie gaźdżinę brać? – siedmioro sierot w chałupie, tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk.

– Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skoczyła Śmierć do morza, na samiusieńkie dno, przyniosła skałkę kwardom, okragluchnom jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

– Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie – zębiska ją bolom; zgryzła wreście calusieńkom skałkę – i patrzy: az w środku chrobocek maluśki siedzi.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk.

– Widzis – powieda – to ja i o tym maluśkim chrobocku na dnie morza wiem i pamiętam; a ty myślis, że ja o sierotach nie będę pamiętał? – Chybaj, bier matkę!

U BRAMY RAJU

Puk, puk!

– Otwórz, święty Pietrze!

– Kto tam?

– Ja, Miłość.

– Jaka miłość?

– Chrześcijańska.

Święty Piotr uchylił nieco podwoi, ale całkiem ich nie otworzył, gdyż doświadczenie nauczyło go wielkiej ostrożności. Więc przez szparkę tylko zapytał:

– A ty tu czego chcesz?

– Schronienia.

– Jak to, schronienia?

– Bo nie mam się gdzie podziać.

– A przecie kazano ci mieszkać na ziemi.

– Ale ludzie mnie wypędzili.

– Bójże się Boga! Więc dla kilku złych ludzi wyrzekłaś się swojej świętej służby i swego posłannictwa?

– Mnie nie kilku ludzi wypędziło, ale wszystkie narody ziemskie.

Święty Piotr roztworzył całkiem drzwi, wyszedł na zewnątrz Raju i siadł przed bramą na kamieniu.

– Cóż się stało? – zapytał z niepokojem. – O! ale widzę, że nie przyszłaś tu sama. Kogoż to z sobą prowadzisz?

– To moje córki: Sprawiedliwość, Litość i Prawda.

– Wypędzono je także?

– Tak. Nie ma już dla nas miejsca między narodami ziemi.

– Ciagle mówisz o narodach ziemi, ale się przecie zastanów. Ludzie zawsze grzeszyli przeciw tobie, narody zawsze wiodły z sobą wojny okrutne, a jednak nie uciekłaś od nich.

– Ludzie grzeszyli i narody wiodły wojny okrutne, ale w głębi serc miały wiarę i przekonanie, że to ja powinnam być podstawą życia. Teraz ta wiara wypaliła się do cna. Nie zostało z niej ani śladu, święty Pietrze, i dlatego naprawdę ja już nie mam nic do roboty na ziemi.

– Skądże to poszło? – zapytał święty Piotr.

Miłość Chrześcijańska wyciągnęła ramię ku dołowi, kędy w otchłaniach przestrzeni widać było wirującą kulę ziemską, i, ukazawszy na niej palcem ciemną plamę, odrzekła:

– Stamtąd.

Święty Piotr utkwiał oczy w ową ciemną plamę, patrzył długo, i wreszcie rzekł:

- Widzę... Miasto, a w nim i naokół mnóstwo pomników...
 - Pomników tego, któremu na imię było: Nienawiść.
 - Tak... Poznaje... To on... i rozumiem.
 - Więc puść mnie, Święty Kluczniku.
 - Zaraz. Tylko powiedz mi jeszcze, czy nie próbowałaś pójść gdzie indziej?
 - Poszłam na Zachód, ale tam cały kraj w stronnictwach i nawet bracia braci tak nienawidzą, że zupełnie nie było dla mnie miejsca.
 - Mogłaś pójść jeszcze dalej – za morza.
 - Nie miałam pieniędzy.
 - No, a w drugą stronę od Miasta Nienawiści?
 - Nie miałam... paszportu.
 - Nigdzie nie mogłaś?
 - Nigdzie.
 - Więc gdyby nasz Pan Ukrzyżowany chciał znowu zstąpić na ziemię?...
 - Och, święty Piotrze, nie puszczono by Go lub wyszydzono.
- Nastąpiła chwila milczenia, po czym Apostoł podniósł głowę, spojrzawszy ze smutnym zdziwieniem na Miłość Chrześcijańską i zapytał:
- Ale powiedz mi wreszcie, co im zastąpi Jego naukę i ciebie?
- A ona odrzekła:
- Powiadają, że rynki zbytu.

CZY CI NAJMILSZY?

...W dali było widać ciemną wstęgę boru, przed borem łąkę, a wśród łąń zwoża stała chata, pokryta słomianą strzechą i mchami. Brzozy zwieszały nad nią zielone warkocze, na świerku w gnieździe stał bocian, a w sadzie wiśniowym czerniały ule.

Przez otwarte wrota na dziedziniec wszedł wędrowiec i rzekł do niewiasty stojącej u progu:

– Pokój tej cichej chacie, tym drzewom, zbożom i okolicy całej, i tobie, matko!

Ona, powitawszy go gościnnie, rzekła:

– Chleba i mleka przyniosę ci, wędrowcze, a tymczasem siądź i odpocznij, bo widać, że z dalekiej wracasz podróży.

– Jako ów bocian i jako jaskółka wędrowałem; wracam z daleka i od dzieci ci twoich wieść przynoszę.

Więc onej matce dusza cała zbiegła do oczu i zaraz spytała wędrowca:

– Czy wiesz co o synu moim, Jaśku?

– Czy ci on najmilszy, że o niego pytasz najpierwej? Oto jeden twój syn w puszczech z siekierą pracuje i w jeziora sieć zapuszcza; drugi konie na stepie pasie, pieśni tęskne zawodzi i w gwiazdy patrzy; trzeci po górach się wspina, na turniach i halach z owcami noc spędza, w orłów krakania się wsłuchuje. Do kolan się wszyscy twoich chylą i pozdrowienia ci przesyłają...

– A Jaśko? – pytała z troską na twarzy.

– Wieść smutną chowam na ostatek. Źle się Jaškowi wiedzie: rola plonu mu nie daje, bieda i głód dokuczają, w niedoli płyną mu dni i miesiące. Wśród obcych i nędzy, mowy twej nawet zapomina, więc i ty o nim, bo już nie twój... zapomnij!...

Gdy to rzekł, kobieta, wzięwszy go za rękę wiodła, do spiżarni w chacie i zdjawszy bochenek chleba z półki rzekła:

– Wędrowcze, daj to Jaškowi.

Na koniec z chustki rozwiązała pieniądz srebrny, błyszczący, i drżącym głosem rzecze:

– Nie bogatam ja sama, ale i to dla Jaška.

– Niewiasto! – rzekł ze zdziwieniem wielkim wędrowiec – synów masz wielu, a jednemu wszystko oddajesz. Czy go kochasz najwięcej? czy ci on najmilszy?

Ona zaś, podniósłszy wielkie, smutne oczy, łzami zalane, tak rzecze:

– Błogosławieństwo, moje wszystkim, ale datki temu jednemu, bom ja matka, a on najbiedniejszy.

